

DZIS I JUTRO**KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY**

Rok II

Warszawa, 4 sierpnia 1946 r.

Biblioteka

CIV 9013

Nr. 30 (36)

Warszawie – w drugą rocznicę Powstania

...A wzrok ten ze szczególniejszą uwagą utkwiony jest w Warszawie, to bohaterkie miasto, którego imię jest tak bogate w szlachetne dzieje, a tak pełne tragizmu z powodu niewystawionych katuszy! Ktokolwiek zachował w sercu choćby najślabszą iskrę poczucia sprawiedliwości i człowieczeństwa, ten stanie osłupiały i przybity, słuchając tylko lub czytając, co o niej opowiadają.

Warszawa! Miasto cpromienione aureolą wytwornej kultury, której pociągającemu czarowi ulegali nawet cudzoziemcy! Warszawa, przemieniona przez swych własnych synów w ognistą kaźń, której palące więzy odczuli nie tylko ci, którzy walczyli, ale gdzie także niewiasty i nieletnie dzieci, odosobnione i odcięta od świata, przeżyły niewystawione męczarnie fizyczne i moralne!

Każń ognista? Nie! powiedzmy raczej tygiel, w którym oczyszcza się i uszlachetnia złoto najwyższej próby. I jakkolwiek głęboką odczuwamy litość na widok tego ogromu cierpienia, to jeszcze głębsze ogarnia nas uczucie podziwu, które każe nisko pochylić czoła przed męstwem bohaterów i ofiar. Te fiary i ci bojownicy wykazali światu, do jakich to wyżyn wzniesić się potrafi bohaterstwo, zrodzone i podtrzymywane przez owo tak szlachetne poczucie honoru człowieka i przez silne przekonanie wiary chrześcijańskiej...

(Z przemówienia Ojca św. Piusa XII do Polonii Polskiej w Rzymie dnia 15 listopada 1944 r.).



„Barykada“

rys. Marek Kononowicz

Wojciech Bąk

Warszawa o zachodzie

Myślałem: miasto ruin. I ruiny są
I przechodzę przez gruzy ze zgrozą poblady
I wiem: te zgłiszczą święte są męczeńską krwią
W mieście, gdzie tylko mury — lecz nie dusze padły.

W Starym Mieście jak ciężko stopom deptać gruz,
Uświęcony cierpieniem i wiejący sławą!
Wiatr, który w oczy wieje zalzawione kurz,
Sypie się w me żrenice bolesną Warszawą...

...Tutaj stos bomb na domy z mściwym rykiem spadł,
Tu płomień szarpał żywe ciało miasta w złości...
I czuję każdą ranę, każdej bitwy ślad —
A to są wielkie rany, rozdarte do kości.

Patrzyłem w te płomienie, słyszałem ten huk,
Widziałem chmury dymu z domów wypalanych...
I znam ten krwią zalany, wdreżony bruk —
I wiem — to wielkie rany — to głębokie rany...

...Ale krew jest zwycięska! Słyszę bliski szum —
To Warszawa żyjąca tłumami wyrasta...
Są groźne rany ruin, lecz ten głośny tłum —
To zdrowa krew gojąca bolesnego miasta.

Jakby gruzów nie było — wkoło krzyk i śmiech,
Jakby nędzy nie było — ten tłum jest zwycięski —
Toczy się ulicami miasta żywa krew!
Niepamiętna pożarów, obozów i kłeski.

Ja znam tę krew radosną — znam jej nagły rytm
I słyszę — to ta sama krew niezapomniana —
Niezmieniona kłeskami i ciosami bitw
Zalewa groźne gruzy Warszawa rozśmiana.

Warszawa wiecznych nadziei, wiecznych dumnych snów,
Stolica w Polskę sławą wparta z lwim uporem —
I słyszę w kroku tłumów głuchy poryk lwów
I oddechem lwim Wisła oddycha wieczorem...

Nad miastem rudy zachód wszystkie blaski dnia
Skupił, w niebo płomieniem wysoko rozlany...
...A ja nie widzę blasku, ale grzywę lwa — — —
To Warszawa lwia blaskiem ponad Polską trwa
I płonącym językiem liże ruin rany!

Maciej J. Kononowicz

Warszawa 1944

Janowi Dobraczyńskiemu

Dmuchali w piszczałki drewniane,
Dmuchali w wierzbowe fujarki,
Aż im serca z wysiłku pękały,
Aż im krew biła przez śpiewne wargi —
Oj, dylu, dylu na badyłu,
Krew biła przez śpiewne wargi.

Dźwigali ciężkie kamienie,
Chodniki, grobowe płyty,
Aż im dłonie buchały płomieniem:
Starcy — dzieciaki — kobiety —
Oj, dylu, dylu na badyłu,
Dzieciaki i kobiety.

Strzelali z dubeltówek,
Z korkowców i wiatrówek —
Rzucali w czołg butelki,
Ondulowane panienki —
Oj, dylu, dylu na badyłu,
Ginęły zgrabne panienki.

Z Londynu... pieśni ślali,
Z za Wisły broń, suchary,
Krzyczeli, a podziwiali,
Jak giną chłopcy malowani —
Oj, dylu, dylu na badyłu,
Chłopcy krwią zalani.

Chlali zatrutą wodę,
I żarli łocie mięso,
Padali w asfalt twarzą,
Śmierć — krzycząc — lub zwycięstwo!
Oj, dylu, dylu na badyłu,
Patetycznie! „Zwycięstwo“.

Ano, już skoro chcieli,
Skoro się tak uparli —
Na miazgę ich zdeptano,

I miasto w proch im starli —
Oj, dylu, dylu na badyłu,
Warszawę w proch starli.

Kto zginął — trosk już nie ma,
Kto żyw — przeżuwa gorycz,
Za srebrny znak na hełmach,
Za białoczerwone kolory —
Oj, dylu, dylu na badyłu,
Białoczerwone kolory.

Już się skończyła heca,
Już zaschło i wygasło —
Znow pomidory sprzedają,
Pod bohaterką PAST-ą —
Oj, dylu, dylu na badyłu,
Pod wypaloną PAST-ą.

Na grzebieniach grają kadłuby,
Inwalidzi, beznogie kaleki,
Na grzebieniach zaknięto tłumiki —
Przecież nuty zostaną na wieki —
Oj, dylu, dylu na badyłu,
Nuty zostaną na — wieki.

Przyjacielu, który już nie słyszysz,
Przyjacielu z piachem w ustach i żrenicach —
Twoim życiem wolność się kołyszce,
Twoją śmiercią współwzrosły granice.

Nie wiedziałeś. Błądziłeś. Możliwe...
To są sprawy zielonych stolików...
Pieśń dziadowską o Twym heroizmie,
Śpiewam, błądząc sam, pośród pomników.
Oj, dylu, dylu na badyłu,
Błądząc wśród pomników...

Dominik Horodyński

W tragiczną rocznicę

Po raz drugi obchodzimy uroczyste dzień 1 sierpnia, jedną z najtragiczniejszych dat w historii Polski — najtragiczniejszą w dziejach Warszawy. Taki to już jest nasz polski los, że specjalnie uroczystości obchodzą nam każde rocznice klęsk, że wspomnienia tych klęsk są dla nas i bolesne i szczególnie drogie. O powstaniu pisało się wiele i napewno jeszcze nie jedno zostanie napisane — ale niech wolno będzie do tych przeszłych i przyszłych dyskusyj dorzucić parę uwag.

Jest rzeczą powszechnie uznaną, że sąd współczesnych z reguły nie bywa obiektywny. Każdy okres dziejowy długo czeka na sprawiedliwego historyka. Z drugiej strony jest oczywiście, że o wypadkach bezpośrednio i zasadniczo wpływających na życie wszystkich członków społeczeństwa, a spowodowanych świadomą decyzją takich czy innych znanych ośrodków dyspozycyjnych — współcześni mają prawo swój sąd wyrazić, choćby dlatego, że powstrzymać się od niego nie potrafią.

Te dwa czynniki są aż nadto widoczne w dyskusjach o powstaniu warszawskim. Czyż można o powstaniu nie pisać?

Decyzja rozpoczęcia powstania rzeczywiście nosi wyraźne piętno polityczne. Tylko, że piętno to mogłoby już należeć do przeszłości i nie dzielić Polaków. Mogłoby, gdyby nie tragedia AK. Los powstania — to los AK. Dowództwo AK, nadało mu tragiczny sens polityczny. Żołnierze AK, zapisali wspaniałe karty jego bohaterstwa. Dlatego lepiej odłożyć ostateczny sąd na później, kiedy atmosfera będzie spokojniejsza, kiedy opadną namietności i kiedy będziemy mieli dostęp do obustronnych materiałów. Co prawda Bór-Komorowski napisał ostatnio w Ameryce książkę o powstaniu, ale nie dotarła ona do nas — poza tym wątpimy, czy książka gen. Bora może być materiałem obiektywnym. Rezygnując z ambicji ostatecznego osądu i oceny, chcę tylko poruszyć parę tez, które wysunęły do tychczasowe zeszłoroczne dyskusje.

Szerzy się pogląd, że powstanie w momencie wybuchu było rzeczą nieuniknioną, że było naturalną konsekwencją zastraszającej się stale konspiracyjnej walki, że w chwili ostatecznej — jak się zdawało — ucieczki Niemców, dowództwo AK nie panowało już nad sytuacją, a przede wszystkim nie było w stanie utrzymać młodzieży, która gdyby nie dostała rozkazu sama poszłaby do akcji i powstanie wybuchłoby w pewnym sensie samorzutnie.

Pogląd ten jest całkowicie fałszywy — wyznawać go mogą tylko ci, którzy albo nie byli w Warszawie, albo będąc w Warszawie, stali daleko od całego świata podziemnego. Jedną z najpiękniejszych cech AK była karność i zdumiewająca dojrzałość jej żołnierzy. Mówię o tej młodzieży, która rzeczywiście w AK była i brała czynny udział w akcjach bojowych, o tej młodzieży, która posiadała broń — a nie o licznej masie, która teoretycznie w AK tkwiła, ale nie miała nic wspólnego z jej wojskowym wysiłkiem, a potem w czasie powstania i po nim — w obozach i nie w obozach — dobre imię żołnierzy AK kompromitowała. Pamiętać należy, że z tego, co było bojową elitą Polskiej Podziemnej przy życiu zostało bardzo mało. Jest objawem smutnym, ale nie nowym, że dzisiaj „dzielnych akistów“ jest coraz więcej.

Otóż tylko ta młodzież, która stanowiła trzon AK, mogłaby ewentualnie powstanie samorzutnie wywołać — choćby dla tego, że tylko ona posiadała broń. Jak podkreśliłem, młodzież ta odznaczała się absolutną karnością i dojrzałością. Naprawdę Ci Chłopcy byli znacznie bardziej dojrzałymi od wielu tych, którzy dziś śmielają się lekko o nich pisać. Doskonale wiedzieli, co znaczy walczyć i jakim przeciwnikiem jest żołnierz niemiecki. Bez złudzeń oceniali i swoje uzbrojenie i

tragizm położenia politycznego. Najdalsi byli od nastroju awantury i nie łudzili się co do konsekwencji.

Nasuwa mi się pewne wspomnienie. Po panicznym odwrocie niemieckim mostem Poniatowskiego i Jerozolimskimi 27, 28 i 29 lipca — w niedzielę 30 obraz Warszawy się zmienił. Szedłem do kościoła św. Aleksandra z ulicy Matejki. Był śliczny słoneczny dzień. Aleje Ujazdowskie zawałone były nowymi czołgami, które musiały nadejść w ciągu nocy. Na trotuarach pod każdym drzewem stał czołg. Na placu Trzech Krzyży też czołgi. Spytałem przygodnego przechodnia:

— Co na Jerozolimskich?

— Odwrót ustał — na most idą nowe oddziały motorowe.

Tłoczno było już na stopniach kościoła i z trudem dostałem się do środka. Właśnie ksiądz czytał ewangelię. Ludzie z dziwnym skupieniem słuchali. W zupełnej ciszy padały słowa przepowiedni o zburzeniu Jerozolimy — „i kamień na kamieniu nie zostanie z miasta tego i synów jego“. Gdy ksiądz skończył, cisza trwała jeszcze bardziej śmiertelna — gdzieś w alejach zgrzytały czołgi. Rozglądałem się po twarzach sąsiadów, były zdrętwiałe, blade. Tuż koło mnie zau-

ważyłem majora z Komendy Głównej. Nachyliłem się do niego:

— Panie! Jeśli generał był na dzisiajszej ewangelii, to nie da rozkazu.

— Daj Boże! — szepnął major.

Po mszy ludzie pomału, milcząc, rozchodzili się do domów. Wmieszałem się w grupę młodzieży. Szli w kierunku Brackiej. Nie mówili nic, twarze mieli ściągnięte, pełne troski. Nagle jeden odezwał się głośno:

— Cały czas modliłem się za rodzinę, za nasz oddział, za Warszawę, za Polskę — Boże, czym to się skończy!

Nikt nie odpowiedział.

Naturalnie, że ten raczej sentymentalny obrazek nic nie wyjaśnia. W pewnym tylko stopniu oddaje chwilowy nastrój miasta. Ale czy ci, którzy piszą o powstaniu, nigdy nie zastanowili się, że w ostatnim tygodniu przed 1 sierpnia panował w Warszawie zupełny spokój. Właśnie w tym czasie, kiedy najłatwiej było nie wytrzymać i zacząć „wojną“ na własną rękę. Właśnie w czasie najpaniczniejszej ucieczki Niemców, kiedy najspokojniejszy obywatel z trudem zdobywał się na opamiętanie — Warszawa Podziemna zdemonstrowała imponującą dyscyplinę. Dlaczego? Bo ta młodzież, od której spokój zależał, doskonale wiedziała, jakie są skut-

ki rzucenia granatem, czy strzałów na ulicy. Bo czuła się odpowiedzialna za los miasta.

A dlaczego parę dni potem poszła? — O tym najlepiej napisała Dąbrowska. Ci Chłopcy — tak jak cywile i kobiety, jak całe miasto i cała Polska Podziemna — mieli Conradowskie poczucie wierności i „wiedzieli jak nigdy w dziejach, o co z Niemcami walczą i czego chcą“.

A jak walczyli — to niech o tym ze złością mówią najzaciętsi przeciwnicy i powstania i Armii Krajowej.

Sprawa dowództwa i sprawa żołnierzy, to dwie sprawy, ale nie tak znowu odległe, jakby to niektórzy chcieli widzieć. Znowu zacytuję Dąbrowską. „Ani żołnierze z AK, ani wszyscy Polacy, którzy z bezprzykładnym męstwem narażali się i ginęli, a w końcu rzucili na szalę nawet los najukochańszej stolicy, nie byli głupcami, którzy ślepo słuchali takich, czy innych rozkazów“.

Dowództwu stawia się — i słusznie — dwa zarzuty. Zarzut nieprzygotowania wojskowego i zgubnej taktyki politycznej. Oba są równie poważnej natury.

Nieprzygotowanie wojskowe, a szczególnie niewiarogodnie słabe w stosunku do postawionych zadań uzbrojenie, nie jest zarzutem, a bezspornym faktem, wywołującym tak skandaliczną lekkomyślność wyższych oficerów, że trudno o tej sprawie pisać spokojnie.

— Ludzie, którzy posyłałi z gołymi rękami na pewną śmierć — przewyższając ich znacznie wartością młodzież — popełnili czyn, który w oczach historii napewno nie znajdzie usprawiedliwienia.

Zarzut natury politycznej należy do tych zagadnień, które lepiej rozpatrywać jest z perspektywy czasu. Osobiście uważam, że sprawa nie ma szans na obiektywne wyjaśnienie i nie poruszałbym jej, gdyby nie to, że czynią to wszyscy piszący o powstaniu.

Opinia polska musiała potem — po upadku powstania i w pierwszych dniach niepodległości — przeżyć głęboki wstrząs, rozpacz i rozgoryczenie. Te ośrodki polityczne, którym ufała i wierzyła, zawiodły — przegrały. Cenę przegranej płaciło całe społeczeństwo. I dziwić się należy, że ten moment psychologiczny nie został wykorzystany do stworzenia prawdziwej jedności narodowej — do związania całej opinii z nową koncepcją i z nową rzeczywistością polską. Opinia ta wtedy była do wzięcia.

Danie odpowiedzi na pytanie, dlaczego tak się stało? — przechodzi ramy i nie należy do tematu tego artykułu.

Niezależnie od takich, czy innych ocen militarnych, czy politycznych — niezależnie od takich, czy innych dysput, lud Warszawy ma wyraźny swój stosunek do powstania, i chyba nic go już nie zmieni.

Jechałem niedawno nocnym pociągami z Krakowa do Warszawy. W wagonie był tłok, kilka osób stało między ławkami. Rozpoczęła się, jak zwykle, rozmowa. Jakaś kobiecina skarżyła się na swój los taki, jakich u nas wiele, że straciła męża i syna, że ma spalone mieszkanie i t. d. Wtem jegomość siedzący przy oknie przerwał:

— A bo ta Warszawa, to takie miasto, potrzebne było komu to powstanie, to tylko po to zrobili, żeby innym zaimponować, że niby zawsze pierwsza, no i ma za swoje.

— A pan skąd? — spytało kilka głosów w ciemności.

— Ja z Krakowa.

— No to brykaj pan stąd — ale migiem! I mimo tłoku biedny „centus“ dotkliwie pobity i słownie obrażony, wyfrunął z wagonu i gdyby nie interwencja milicji kolejowej, skończyłby niewątpliwie w szpitalu. A potem już całą noc szły rozmowy o powstaniu, o tym, jak to było, piosenki i t. d. Tacy już są warszawiacy.

Gdy waliły się domy Starego Miasta, gdy płonął Mokotów i Śródmieście, zbiegali się o zmroku żołnierze i mieszkańcy

Nik Rostworowski

WARSZAWA

Tu każdy hymn kwileniem i histerią patos,
Bo będzie dużo więcej, albo znacznie mniej.
Wymowną jak milczenie seria z automatu
Torować szlak wielkości. POCO broni glejt?

Broń sama sobie umie wystawić przepustkę,
Na nieśmiertelność kulą wypisuje czek.
Nawet komu przed zgonem gipsowali usta
Wpierw spojrzaniem zabijał, nim na chodnik legł.

Chodziłeś po Warszawie i pytałeś: Jakaś?
Czyś prawdziwsza na Chmielnej, czy w Alei Róż?
Oddawałeś stu diabłom pasek Karcelaka,
By teraz łzami skrapiać jego święty gruz.

Na działkach mokotowskich rosła kalarepa,
W „Batawii“ rzeźwił miło nadwieczorny chłód,
Wyzierały spod paltot chłopcom lufy pepesz,
Pawiać znowu rozwałka. Mówili, że stu...

Bronią byłaś Stolico, obuchem i tarczą.
Na manowcach Twych ulic wróg jak badył sechł.
Kto się rodził nad Wisłą, ten wiedział, że warczał
I śmierć wieścił najeźdźcy Twój swawolny śmiech.

Było takie jak inne letnie popołudnie.
Jedni mieli benzynę, drudzy tylko krew.
Praskim brzegiem i Mostem stali pomruk dudnił
I nie trzeba już było krzyku dławić w szept.

Powiadacie, że zbrodnia. Wołacie: Odwaga!
Macie rację, panowie. Nie ma racji nikt.
To tak jak barometrem odmierzać huragań,
W ubogiej skali dźwięków chcieć pomieścić ryk.

Ja wiem tylko, że dzisiaj mego Miasta nie ma,
Ze dziewczęta w kanałach połykały kał,
Ze Rom z żelazem w brzuchu czołgom grodził przemarsz,
A Tomka zastrzelili kiedy ranny spał.

Ze Ani zwały gruzu odebrały matkę,
Ze z ciała małej Krysi nie ostał się strzęp,
Ze elegancki Paweł walczył do ostatka,
Ze gdy hańbili Jankę... O ja więcej wiem!

Ja wiem także jak cenić trzeba wartość cegły.
Nawet śmiercią zrobiło swym wrogom na złość,
Przekorne do ruiny Miasto niepodległe.
Na przysze barkady mamy cegieł dość.

i z każdej kępy ruin unosiła się pieśń, którą na wiele już miesięcy przedtem co wieczór rozbrzmiewała Warszawa:

„Słuchaj Jezu, jak Cię błaga lud,
Słuchaj, słuchaj, uczyni z nami cud“.

Poeta, który 150 lat temu układał słowa naszego Hymnu Narodowego, był taki sam, jak ci powstańcy, pisząc:

„Co wszczęła rozpacz — to dokona męstwo,
Marsz, marsz Polacy — Bóg nam da zwycięstwo“.

Dla mnie te dwie pieśni, śpiewane w decydujących momentach dziejowych, w obliczu klęski — oto żalosna i tragiczna

synteza polityki polskiej. Polityki, która od wielu już pokoleń doprowadza co jakiś czas naród do sytuacji bez wyjścia. Do sytuacji, z której jedynym ratunkiem jest rozpaczliwe i daremne wołanie cudu i pomocy Bożej. Wołanie, które jest o krok od bluźnierstwa.

Jakż ma być wynik tych pobieżnych i smutnych rozważań? O wynik czasem jest trudno. Jestem daleki od entuzjazmu dla hura-patriotycznej i powstańczej tradycji. Niemniej tkwią w niej niewątpliwe wartości, które inaczej; pokierowane i mądrze wyzyskane, mogłyby stać się bezcennym twórczym skarbem narodu. A przede

wszystkim tradycja ta jest faktem, który w sposób decydujący ukształtował psychiczną postawę Narodu.

Wydaje mi się, że dobrze jest czasem zastanowić się nad źródłem naszych stałych klęsk narodowych. Może uda nam się kiedyś połączyć dwa wielkie nurty naszej historii — nurt mądrej, lecz źle realizowanej myśli i nurt lekkomyślnego, lecz wielkiego w swym rozmachu i ofierze czynu. Wtedy uda nam się czerpieć z największych skarbów duszy polskiej, by budować realne rzeczy. Wtedy historia naszego Narodu będzie pisana w sposób równie polski, ale mniej bolesny.

Dominik Horodyński

Warszawa łez i krwi

Zasługa śmierci łączy się w normalnych pojęciach z bohaterstwem walki, ze świadomością dobrowolnej ofiary i gotowości oddania życia za sprawę. Śmierć przypadkowa i niezawiniona męka są zwykle cięższe o cały tragizm buntu przeciw śmierci i przeciw męce.

W rozpatrywaniu dziejów Powstania Warszawskiego operuje się cyframi bohaterstwa poległych Powstańców, wylicza się ich zasługi bojowe, sławi się męstwo, poświęcenie. Tłem dla historii Powstania są gruzy zburzonej w odwecie Warszawy i wielkie, nieujęte dokładnymi cyframi ofiary życia, krwi i męki setek mieszkańców zawsze dumnego i niepodległego Grodu.

Od historii Powstania nie da się odłączyć tysięcy ofiar, ginących bez broni w rękę. Piękna legenda Powstania Warszawskiego ogarnia całą Warszawę, obejmuje wszystkich jej mieszkańców, upodważnia do dumy nawet tych, którzy cierpieli za honor walki wybranych i samym uczestnictwem w cierpieniu dokumentowali na wczoraj, na dziś i na wieki wieków prawo Warszawy do przydomka „zawsze wolnej“ i „zawsze niezłomnej“.

Nie wydaje się, aby można było cokolwiek podważyć prawo mieszkańców Warszawy — uczestników Powstania do poczucia własnej ważności z tytułu wkładu w walkę o wolność. Nawet opowiadania starych, zasłużonych więźniów obozów koncentracyjnych o „niesfornym elemencie warszawskim“, który masowo napływał do obozów po Powstaniu zakończonym klęską — nawet wydobyte na jaw podłości, tchórzostwa i samolubstwa jednostek nie zmieniają ogólnego obrazu Powstania, zrosłego raz na zawsze z legendą Warszawy. W historii Narodu lud warszawski zapisał chlubnie jeszcze jedną kartę.

Przeżywamy dzisiaj wszyscy wyraźną skłonność do wyrzucania z pamięci wszystkiego co makabryczne. Gotowi jesteśmy nie pamiętać szczegółów polskiej martyrologii z okresu okupacji, zamykając wszystkie obrazy i wszystkie straty (nawet najbliższych) w jednym pojęciu — w pojęciu zbrodni niemieckich.

Odnosi się nie lada wrażenie, że oglądanie egzekucji, dokonywanych na zbrodniarstwach niemieckich, rozładowuje w pewnej mierze żywość i bezpośredniość pamięci o stratach narodowych, że pozwala na łatwiejsze formowanie legendy, opartej wyłącznie na bohaterstwie oddania regularnej armii powstańczej. W ten sposób tworzona legenda nie ogarnia już teraz całości zrywu powstańczego, gdyż proste stwierdzenie o „bohaterstwie Warszawy“ sprowadza się w ogólnym pojęciu do sławienia zasługi śmierci bohaterstwa poległych i do podnoszenia wartości dobrowolnej ofiary i gotowości oddania życia za sprawę.

Jest jasne, że polegli żołnierze armii powstańczej nadali sens zrywowi warszawskiemu, że ich ofiara nie potrzebuje żadnych upiększeń, ani tłumaczeń. Jest jasne, że bez takich świadomych i dobrowolnych ofiar nie można by mówić o setkach tysięcy poległych mieszkańców Warszawy inaczej, jak tylko w sensie nazwania ich ofiarami terroru i zbrodni niemieckich. Jest również jasne, że w



rys. Marek Kononowicz

całości oceny Powstania Warszawskiego wszyscy polegli i wszyscy cierpiący znaleźć muszą swoje miejsce. Powiedzieć należy, że walczyła cała Warszawa, że w warszawskiej walce brali udział starcy i dzieci, kobiety i mężczyźni wszystkich stanów i wszystkich orientacji społecznych i politycznych, pragnących walczyć i lękających się walki. Tak powiedziec należy o wszystkich, choćby większa część walczących była elementem biernym, płacącym łzami i krwią za orężną walkę wybranych.

Wydana przez Instytut Zachodni w Poznaniu książka z cyklu „Documenta Occupations Teutonice“ p. t. „Zbrodnia niemiecka w Warszawie 1944 r.“ jest zbiorem dokumentów, stwierdzających zasięg i jałowość zbrodni popełnionych przez Niemców w okresie Powstania i w pierwszym okresie po jego upadku na mieszkańcach Warszawy. „Rzeź Woli“, „Ochoła — Zieloniak“, „Mokotów — Czerniaków — Żolibórz“, „Śródmieście“, „Pruszków“ — oto działy, na które podzielono dokumenty ilustrujące w sposób dowodny i autentyczny katastrofę Warszawy w okresie i z powodu walk powstańczych.

Ogólnej oceny tej książki nie należy zamykać w ramach zbrodni niemieckich choć tytuł książki mógłby upoważniać do takiego jej potraktowania. Ocenę książki należy raczej potraktować z punktu widzenia ogromu martyrologii Warszawy, jako Jej wkładu w przeszło 5 i pół letnią wojnę polsko-niemiecką o wolność i niezawisłość. Z tego też powodu książka jest cenną własnością narodową. Wartość książki nie umniejszy się po skończeniu procesów zbrodniarzy niemieckich i po wyegzekwowaniu wydanych wyro-

ków. Z książki należy uczyć dzieci polskie nie tylko zbrodniczych metod i okrucieństw niemieckich — ale przede wszystkim nieprawdopodobnych zdolności polskich do znoszenia męczarni w sposób nie wpływający na złamanie i na utratę woli dalszej wyczeranej pracy dla dobra Ojczyzny.

Warszawa żyje. Wśród szczątków miasta odrodziło się życie Warszawian ze specjalną dynamiką. Stwierdzić trzeba, i to właśnie na podstawie książki — do komentu, że nie ma w świecie miasta, które by więcej zasługiwało na podziw i na chwałę. Tak za wspaniałe, bohaterskie zrywy — jak i za niespożytą energię walki o swój byt i przyszłość.

Tej książki z cyklu „Documenta Occupationis Teutonice“ nie da się zrecenzować inaczej, jak przez przytoczenie kilku wyjątków z oryginalnych protokołów, sporządzonych z zeznaniami bezpośrednimi świadkami męki Warszawy. Specjalne propagowanie tych dokumentów i tej książki w powstańczym numerze pisma może mieć jeden tylko cel: uwypuklenie roli całej Warszawy i wszystkich Jej mieszkańców w tworzonej pięknej i wiekopomnej legendzie powstańczej.

Protokół nr 57. Świadek Henryk Habszowski (Warszawa, Elekcyjna 8) zeznaje: „Wypędzono nas z piwnic i pognano pod park Sobieskiego na Ulrychowie; do przechodzących strzelano; żonę zabiło na miejscu, dziecko nasze ranne wołało matkę; wkrótce podszedł Ukrainiec i zabił moje dwuletnie dziecko jak psa, następnie razem z Niemcami zbliżył się do mnie, stanął mi na piersiach, patrząc, czy żyję...“

Protokół nr 63. Świadek Wanda Lurie zeznaje:

„W ostatniej czwórce razem z trojgiem dzieci podeszłam do miejsca egzekucji, trzymając prawą ręką dwie rączki młodszych dzieci, lewą rączkę starszego synka. Dzieci szły płacząc i modląc się; starszy widząc zabitych wołał, że nas zabiją i wzywał ojca. Pierwszy strzał położył starszego synka, drugi ugodził mnie, następnie zabił młodsze dzieci...“

Protokół nr 1. Świadek Edward Serwański (Warszawa, Elekcyjna 9) zeznaje:

„Za sobą pozostawiliśmy na ulicach chorych, starych, kaleki. Widziałem w wielu wypadkach, jakby zepchnięte dosłownie z trasy naszego marszu, siedzące na zwaliskach czy gruzach zwęglonych resztek domów, trzęsące się staruszki, zgrzybiałych starców, czy skamieniałych zupełnie i na nic już nie reagujących chorych. Nikt się o nich nie zatroszczył. Widok tych ludzi na tle niesamowitej grozy umocnił się w moich wspomnieniach jako wyobrażenie zupełnego osamotnienia...“

Protokół nr 77. Świadek — nazwisko nieznane (sanitariuszka) zeznaje:

„Dnia 2 sierpnia 1944 r. byłem jako sanitariuszka na punkcie sanitarnym przy ul. Nasierowskiej, róg Kaliskiej i Jotejki; w pewnym momencie przywieziono ранnego; był nim dowódca NN (nazwiska nie udało się ustalić), człowiek wielkiej wartości, którego postanowiono za wszelką cenę ocalić; tylko natychmiastowa pomoc mogła go uratować (ciężka rana brzucha). Zapadła decyzja przeniesienia go do szpitala Dz. Jezus; przeniesienie przez obsługę z dorosłych było niemożliwe, bo Niemcy strzelali do sanitariuszek i nie można się było pokazać na ulicy; powstał projekt, żeby ranego odnieśli dzieci. Znalazło się na punkcie 9 dzieci, 2 najmłodszych harcerzy łączników i 3 innych chłopców w wieku 11, 12, 13 lat, 4 dziewczęta, najmłodsze łączniczki sanitarne 13 — 15 lat, wszyscy zgłosili się na ochotnika; chłopcy ponieśli nosze — dziewczęta w białych fartuszkach z krzyżami osłaniały — na przodzie szedł chłopczyk z chorągwią czerwono-krzyżową. Tak uformowani przedarli się pod ostrzałem, idąc przy murze przez Plac Narutowicza, i skręcili w ulicę Grójecką. W tym momencie Niemcy rozpoczęli z Domu Akademickiego specjalnie do nich skierowany atak z karabinów maszynowych. Powstańcy nie odpowiadali. Tylko 3 chłopców i jedna z dziewcząt powrócili nosząc na powrót ranego, który zranił ponownie, życie zakończył; reszta dzieci poległa.“

Protokół nr 22. Świadek Andrzej Jaśkowski (Warszawa, Barska 20) zeznaje: „Jak byłem na Zieloniaku w dniu 2.VIII.1944, widziałem na własne oczy, jak niemiecki kapral pokazał Ukraincowi chodzącego po placu siedmioletniego chłopca. Ukrainiec wziął chłopczyka za szyję i wyniósł za druty, gdzie go zabił uderzeniem kolby rewolweru w głowę. Trupa Ukrainiec ten zostawił za ogrodzeniem.“

Protokół nr 212. Świadek Wohlschlager zeznaje:

„Widziałem stopy trupów. Na stopy te wprowadzano grupkami ofiary, do których podchodzili oprawcy i bronią krótką, strzelając w nadkarcze, zabijali. Wśród rozstrzeliwanych widziałem mężczyznę z dzieckiem na ręku. Najpierw zastrzelono dziecko, a potem ojca tego dziecka. Wśród ofiar były dzieci od lat 4. Rostrzelano między innymi chłopców od lat 14. Widziałem na stosach starych rozstrzeliwanych, kaleki, między innymi człowieka z protezami. Świadcami tej egzekucji byli oficerowie SS, żandarmi i gestapowcy...“

Protokoły mnożą się. Na 246 stronach Warszawa świadczy o swej walce, o krwi, cierpieniu i łzach. J. K.

KATECHIZM

najtańszy i najbardziej nadający się dla młodzieży, str. 96, wydanie 1946— wysyła paczkami po sto egzemplarzy za pobraniem lub po wpłaceniu na konto PKO Nr VII—608 Łódź 1.060 zł (cena hurtowa 10 zł., detaliczna 15 zł. plus porto)

ks. dr. Win. Heleński
Gostynin, wojew. Warszawskie

ZYLA jak w gorączce. Dni biegły szybko przeżywane w jakimś nieprawdopodobnym napięciu — przerażająco kolorowe, rozdygotane, zbyt bogate w przeżycia, by je można było bodaj we śnie zapamiętać, zbyt pośpiesznie mijające, by je można było w ich kalejdoskopie zapamiętać. Noce także nie przynosiły odetchnięcia. Zresztą to były albo noce snu — i wtedy wydawały się tylko krótkim momentem, albo noce walki — i wtedy bujniejsze były jeszcze niż dnie — noce czerwone od pożarów, białozielone od niemieckich rakiet spadochronowych. Nagle pomiędzy rankiem owego ostatniego wtorku, a wszystkim, co potem nastąpiło, dokonana się zasadnicza przemiana, rozbijająca życie na dwie odmienne w tonie i barwie partie. Jeszcze pamiętała ten ranek szary i lekko tylko słoneczny Chciała się zająć jakąś pracą, ale wewnętrzny niepokój nie dał jej na niczym skupić uwagi. Zaczęła przerzucać naprzód jedną książkę, potem drugą. Dwa auta naładowane uzbrojonymi żołnierzami przejechały Filtrową. Czyżby się coś działo? Pomyślała sobie, że Niemcy mogli nakryć jakąś koncentrację: niektóre bataliony nie rozpuściły od piątku swoich ludzi.

Zegar tykał. W kuchni matka nalewała wodę z kranu do garnka i ten stukot wody o metalowe dno — choć dobrze znany — podniecał napięcie. Wstała z krzesła, poczęła chodzić po pokoju.

Tak dotrwała do południa. Kilkakrotnie zaczynała czytać pożyczonego „Klaudiusza”, ale byle dźwięk ją od czytania odrywał. Ruch samochodowy stał się duży, gwałtowny. Stojąc w oknie, patrzyła na skwer, który był jednak mniej ludny niż zwykle. Nagle zobaczyła Hankę. Dziewczyna szła bardzo śpiesznym krokiem w stronę ich domu. Była czerwona, zgrzana, chwilami podbiegała kilka kroków. Jasne włosy miała roztrzepione. Na szyi kolorową chustkę, którą pociągała nerwowym ruchem to za jeden, to za drugi koniec. Uśmiechnęła się z okna do małej łączniczki. „Do mnie, Hanka?”. Dziewczyna zrobiła potwierdzający ruch ręką i — już zniknęła w sieni. Idąc ku drzwiom, Oleńka słyszała na schodach przedknie, niepokojąco przedknie kroki tamtej. Niespodziewanie poczęło jej bić serce. Prędko otworzyła drzwi, prędko wpuściła Hankę do mieszkania, chciała wziąć dziewczynę do pokoju, ale tą potrzęsła złotą główką. „Nie mam czasu... — odpnęła ciężko — zaraz... koncentracja... Ogrodowa 19... dziś się zaczyna”. Stała na wprost siebie, milcząc i tylko prędko oddychała. „A więc...“ — zaczęła Oleńka. Hanka przerwała jej: „Muszę lecieć. Daj mi trochę wody, tylko zimnej”. Oleńka poszła do kuchni. Podstawiła szklankę pod kran. Zdziwiła się zauważywszy, że jej ręką drży. Matka podniosła głowę znad zbrzydzonego przygotowywanym obiadem stołu. „Kto tam przyszedł, Oleńko?” — zapytała. „To Hanka”. Starsza kobieta przerwała szatkowanie marchewki. Uważnie szeroko otwartymi oczami popatrzyła w twarz córki. Oleńka skinęła lekko głową. Przez krótką chwilę — nie, to trudno aż opisać, jak to krótko trwało! w oczach matki zabłysnął okropny lęk, rozpacz, może prośba. Potem to zgasło. Wszystkie matki były tego dnia takie same. Nie powiedziała nic. Oleńka zaniosła wodę małej łączniczce. Dziewczyna połknęła ją szybko i chwiliwie. Potem skinęła zobaczmy się...“ Oleńka zamknęła za nią drzwi. Chwilę stała w przedpokojku wsluchana w gwar miasta, który teraz wydawał się jej warkotem nądeciągającej burzy. Weszła do kuchni. Matka stała i starannie obcierała ręce w fartuch. Zapytała spokojnie i strasznie rzeczowo: — głos jej tylko nieco drżał: — „Kiedy masz iść?”. „Zaraz”. „Zjesz coś?”. „Chyba nie. Nie zdołałabym nic przełknąć”. Kobieta odwiązywała fartuch. Teraz w jej spojrzeniu, w jej ruchach, w jej słowach nie było nic poza nieprawdopodobnym spokojem i opanowaniem. „Przygotuj się — powiedziała — nie możesz się spóźnić... Włożyła płaszcz. Popatrzyła na matkę. „To idę, mam...”. Objęły się. Patrząc znad ramion matki przez krótki moment obrzuciła spojrzeniem pokój. Znała go tak dobrze, że mogła by tu z zamkniętymi oczami bez namysłu znaleźć mebel. Matka odsunęła ją od siebie pierwsza. Raz jeszcze spojrzęły sobie prosto w twarz. Ale nie — w oczach matki nie było ani śladu łez. Podniosła rękę —

ukochną rękę z białym, ledwie dostrzegalnym znamieniem — i wycisnęła mocno krzyż na czole Oleńki.

Potem szła — pamiętała dobrze tę drogę. Na rogu Filtrowej i Raszyńskiej minęła dwie kobiety popychające przed sobą dziecinne wózki. Dobięły jej uszu słowa jednej: „bo ja sama już nie wiem czy nie kłamię. Ciągłe mówią, że coś będzie, a potem nic nie ma...”. Szła prędzej dalej. Szkoła na rogu Niemcewicza otoczona była kozłami z kolczastego drutu. Trzech wartowników z bronią pod prawym łokciem, w hełmach, każdy z granatem za cholewą stało za parkanem. Minęła ich. Raszyńską pędziły auta — gorączkowo — to w jedną, to w drugą stronę. Doszła do rozdroża Grójeckiej, Towarowej, Alei Jerozolimskich, Nowogrodzkiej, Koszykowej. Skręciła w aleję. Ruch tutaj wyraźnie przybierał na sile. Aut było coraz więcej — ale i więcej było śpieszących chodnikami ludzi. Poczęła obserwować i nagle z zachwytem zauważyła niezliczoną ilość młodych chłopców w płaszczach, w wysokich butach, idących przeważnie kupkami. Podniecenie poczęło się w niej przeradzać w gorączkową radość. Później zauważyła kilku mężczyzn w robotniczych kombinezonach, ale o twarzach inteligentkich — dziwnie z ich strojem nie harmonizujących. Dwóch z nich niosło podobne przedmioty, owinięte w papier. Pomyślała, że trzeba być ślepcem, aby w przedmiotach, mimo opakowania nie poznać „stenów”. Doszła do rogu Żelaznej. Na przejeździe stały po staremu baby z kwiatami i z bułkami. Zauważyła jednak zwiększone posterunki wojskowe przed WIG-iem. Im szła dalej tym ruch zdawał się wzmacniać na gwałtowność. Zwłaszcza na przecięciu Żelaznej i Złotej czuło się gorączkę. Szła dalej Żelazną wciąż odkrywając czujnym spojrzeniem śpieszących na koncentrację ludzi. Mijając Sienną rzuciła okiem na Plac Kazimierza — ruch na targowisku był znacznie mniejszy niż zwykle. Przyspieszyła kroku. Z prawa miała teraz mur „małego ghetta”, a za nim szkielety spalonych domów, częściowo rozebranych. Pamiętała jak szalał tutaj pożar... Biło jej serce. Doszła wreszcie do rogu Chłodnej. W narożnym domu był posterunek żandarmerii. Obok przypartego do muru bunkru, stało dwóch wartowników z bronią gotową do strzału. W bramie widziała auto policyjne i kilku kręcących się Niemców w jaskrawo zielonych mundurach. Jeden z żandarmów — grubas z nienakrytą jasnoryzą głową, stał na długim balkonie, ciągnącym się wzdłuż całej ściany domu i na coś patrzył w kierunku na kościół św. Karola.

Minęła Chłodną. W głębi widziała wychodzący z Leszna mur ghetta i bramę z bunkrami, zastawioną kozłami hiszpańskimi. Nad murem widać było gmach kliniki św. Zofii. Ogrodowa zdawała się spać cicho na uboczu od gwaru Żelaznej. Z lewa ciągnął się wysoki mur fabryczny. Nad bramą był napis: Leszczyński. Domy małe obok wielkich kamienic. Śmiesznie cicha, brzydka a przecież zdumiewająco wdzięczna ulica. Naturalnie żadnych ogrodów. Patrzyła po numerach. Wreszcie miała przed sobą mur: sztachety na tle cegieł. Do wnętrza prowadziła mała furtka. Pchnęła ją. I zaraz zobaczyła „Zyndrama” stojącego na wprost wejścia, ubranego z całą zuchwałością w czarną krótką bluzę niemieckich panzer-grenadierów.

Potem to oczekiwanie. Godziny miały za godzinami. Upchnięty w lokalu przedszkola, siedząc na małych ławeczkach i przy maleńkich stolikach patrzyli na leniwie wlokące się wskazówki zegarów i na broń, którą nareszcie będą mogli dowoli i otwarcie użyć. Ciągłe przybywali z miasta nowi ludzie. Wiedzieli, że już wszystko wre. Łącznicy jeździli aż do upadłego na rowerach, dorożkami, rikszami. Chwila decydująca nadchodziła. Ktoś powiedział, że już słychać strzały. Spreżyli się w nasłuchiwanie. Rzeczywiście rozległo się ich kilka ale potem zapadła cisza. Z gniewem patrzyli na ogłuchły telefon na stole w kancelarii. Znowu rozległy się strzały blisko na Chłodnej czy na Żelaznej. Potem znowu — tym razem od Solnej. Potem ciągle seria z peemu — tuż na Ogrodowej. Nie mogli już wysiedzieć. Gdyby nie roz-

Jan Dobraczyński

S T A R

kaz wypadli by na ulicę. Otworzyli tylko okna i drzwi. Miasto huczało wystrzałami. To za dużo powiedziane: stukot wystrzałów tonął w labiryncie ulic. Ale nagle ucichł warkot motorów i w tej nieoczekiwanej ciszy słychać było gorączkowe postukiwanie kabe i szybkie trzaski peemów. Wartownicy od furtki rzucali nowiny: posterunek przed gmachem sądów uciekł do środka; jakaś trojka zuchwałców z bramy, na przeciwko odeszła z peemem w rękę do drutów. Teraz! Ach — usłyszeli nagle, jak przywarta w oczekiwaniu ulica rozdarła się krzykiem i oklaskami. „Co tam takiego? Stach? „Zyndram“? Powiedz!” — wołano. „Nic — „Zyndram“ cofnął za furtkę wychyloną głowę — idzie jakiś oddział z bronią i z opaskami”. A więc już! Ogarnął ich szal radości. Teraz oni chwycili za opaski. „Na lewą czy na prawą? Spodnie w skarpetki! Pasek od spodni na wierzch marynarki! I broni! broni!”

Byli pijani zapałem. Gdy jeden z plutonów poszedł na rozpoznanie przed gmach sądów, oczekiwano z drżeniem zachwytu pierwszych strzałów. Ale zwycięstwo było bezkrwawe: Niemcy z sądów uciekli. Bez wystrzału został opasany ogromny gmach, w którym były niemieckie hełmy, mundury, setki bezcennych dla żołnierza rzeczy. Od Chłodnej i Żelaznej dochodziła coraz gwałtowniejsza strzelanina. Pobiegli łącznicy do dowódcy odcinka. Już wiedzieli co się dzieje. Ze szpitala przyniesiono aparat radiowy i uruchomiono go. Dwa plutony poszły na rozpoznanie na Chłodną. Wrócono z wiadomością, że broni się szkoła na rogu Wawelskiej i że spotkali niemiecki czołg, który obrzucił butelkami zapalającymi, ale żadna się nie zapaliła. Dowódca jednej z kompanii popędził z pretensjami do pięciu pirotechników, którzy nieprzytomni z pośpiechu „nabijali” o dwa domy dalej setki butelek zapalających. Główny ich mistrz chłopak o spalonej dłoni w gumowych rękawiczkach podniósł na oficera przekrwawiony od wysiłku wzrok. „To moja wina, że są kretyny? Proszek musi się połączyć z płynem inaczej wyjdzie gówno! A jak im torebka zostaje w łapie, to pewno że się nic nie zapali!”

Pierwsza noc powstania rozplakała się rzęsistym deszczem. Wśród plusku cięż-

kich kropel budowali barykadę w pokrzywek Ogrodowej. Wyrivano z jezdni okrągłe kamienie i rzucono na tos. Rozlegał się dźwięk żelaza o kamienie, ciężkie sapanie pracujących. Jakież kobiety przyszły z gorącą kawą. Podawały ją w kubkach pracującym. Słychać było głosy: „Frank. Przeszła; już cały jesteś mokry...“ I gniewne odpowiedzi: „Daj matka spokój. Dla Niemca pracuję czy co? Odknajtą się!” Mocne uderzenie żelaznym drągiem między kamienie. Warszawa żyła jednym braterstwem.

Barykady, barykady. Budowano je całą noc. Stanęły dwie na Ogrodowej, jedna na Solnej. Nie przeszkodziło to wjechać na ulicę niemieckiemu czołgowi. Plunął ogniem z cekaemów na ludność, która pracowała przy budowaniu z dwóch barykad osłony dla przechodzenia przez Żelazną. Potem wycofał się śpiesznie chrzęszcząc żelastwem. Na Chłodnej łomotają wciąż cekaemy, walka toczyła się o gmach szkoły. Wieczorem budynek ewakuowany przez Niemców wyleciał w powietrze. Zdobywano także z zawziętością posterunek żandarmerii na rogu Żelaznej i Chłodnej. Grubego policjanta — był to komendant posterunku — zastrzelono w końcu na balkonie. Spadł z piętra niby ciężki wór. Kompania „Kostki” poszła zdobywać bramę „ghetta” na rogu Leszna i Żelaznej.

Na piąty dzień zaczęła się walka o Wołę. Poszły patrol bojowy w tamtą stronę. Z jednym z nich dotarła nocą aż poza Towarową. W dzień byli tutaj Ukraińcy, teraz się cofnęli. Domy płonęły buchając czerwonymi jezorami ognia, wysoko w czarne niebo. Cienie biegły wzdłuż ścian. Posuwali się nie pewnie gęsiego — dwunastu zuchwałców i dwie dziewczyny. Ich dowódcy, młody porucznik z wijącymi się czarnymi włosami i delikatnymi wargami artysty zatrzymał gotowego do strzału Bergmanna. Naturalnie w oddziale był tylko ten jeden peem, a poza tym jeden karabin i cztery pistolety. Reszta miała granaty lub butelki. Chcieli za wszelką cenę zbadać sytuację. Posuwali się ostrożnie, lekliwie a przecież nieustępliwie. Na ulicach leżały trupy — niektóre z nich były popalone. W jakiejś bramie ujrzeni cały stos ciał w drgającym czerwonym blasku pożaru, w przerażającej ciszy miasta, przerywanej tylko hurgotem ognia i rozdieranej raz po raz strzałami, wzrokiem pełnym grozy pa-

Lesław M. Bartelski

Poświęcenie kwatery „Baszty

Mokotów jak wspomnienie, Mokotów jak garść ziemi. Nie ma celu — istoty bohaterstwa ukrywać w piosence, nie łagodnej, lecz prężnej nurtem niczym górski strumień. Nam, opiętym ogniem, zielenią i rozpaczą rodzin, nam obolałym od dni w skwarze minionych słońca, nam o oczach pokrytych rybnią łuską, pod którą tętni wspomnienie — nie rozpacz, ale jako odbicie na dnie naszych sumień, nie bierność —

lecz: „przysięgamy Waszą śmierć wypełnić do końca!”.

Znakiem zwycięzców cztery proste deski, w których zwłoki por. „Szwarcza” z kompanii B 3, garść ziemi serdecznej w ustach, ziemi z Mokotowa, wyschłej od pożarów na tamie barykad, popiół w oczach skrywający błysk i ogień i kości poległych o nieznanym nazwiskach, zbutwiały jak sztandary.

Ponad głową niewidoczne gwiazdy miast odznaczeń i twardy otów w piersiach wpisany jak wyrok: idący w ogień niespodzianie napotkali Boga, który ich przysparzał.

Dźwięki żalobne z kaplicy cmentarnej, kołysane smutkiem, wtopione w warkot czołgów z dywizji pancerniej wroga, warkot wypełniający resztki dni i ostatnie noce przeznaczenia, potem odwrót kanałami do Śródmieścia po trupach przyjaciół, którzy konając mieli usta pełne mułu, którzy konając wierzyli nieodmiennie w wielkość.

Na cmentarzu wojskowym w Warszawie teraz zieleni tłumaczy i teraz słońce zaklina nas Wam nieznanym z imion i nazwiska, że nasza droga wspólna — jak wspólna jest przystań, wpatrzonym prosto w tamten brzeg, o który falą łagodną nie uderzy Wisła.

1.VI.46.

Ó W K A

*) Fragment powieści p. t. „Najeźdźcy“.

trzyli na zabitych. Leżeli oni stosem, jedni na drugich: mężczyźni, kobiety, dzieci — najwięcej chyba dzieci. Było dużo krwi i ta krew tworzyła na ziemi wciąż jeszcze lepkie błoto. Straszliwie wyglądały rozszarpane na strzępy głowy, wciśnięte spazmatycznie dłonie. Szli dalej, skradali się wzdłuż muru. W następnej bramie znnowu trupy, rozrzucone bezładnie rozwleczone po sieniach i schodach. Ogień trawił już dom. Znowu dzieci, kobiety... Teraz raczej kobiety. Oleńka widziała je leżące w jakichś dziwacznych pozach — ciała poskręcane, poobdzierane z ubrania. Nie od razu uświadomiła sobie co przeszły te kobiety zanim dosięgła je w końcu kula niemiecka. Jej towarzyska — Lilka — traciła ją w ramię. Zwróciła ku niej wzrok i aż się przeraziła wyrazem twarzy małej żołnierki. Palce dziewczyny zaciskały się na dłoni Oleńki. „Słuchaj... boję się... — szeptała — rozumiesz... tylko nie to... „Wtedy uświadomiła sobie wszystko bo ją także ogarnął lęk. Wydało jej się, że śmierć zwykła — męska śmierć — była rzeczą, której najwięcej pożądała. Nie czuła ślepej wściekłości jaka ogarnęła chłopców patrzących na trupy. Oni teraz myśleli tylko o zemście. Zaciskali dłonie na swych butelkach, wymieniali między sobą krótkie słowa: „Ależ bym tłukł!“ „A ja? Cholera! Gdyby tak mieć stena!“ „O rany! Nie mówcie nic, chce mi się rzygać, że nie mogę iść i strzelać im prosto w mordy“.

Jeszcze minęli dwie bramy obie pełne ciał. Przeważnie mężczyźni leżeli na kupa gdzieś w kącie, dzieci i starsze kobiety w środku. Tylko ciała młodszych kobiet rozdarłe, w resztkach poszarpanego odzienia walały się wszędzie. Ile tam było tych trupów — setki, tysiące? Nie umieli by ich zliczyć. Szli pijani tym wiodkiem, coraz mniej przytomni, coraz zawzięciej pożądamy krwi nieprzyjaciół. Ah — gdyby mogli na nich uderzyć! Jakis cień mignął na skapaniej w czerwieni ulicy. Któryś nie wytrzymał i strzelił. Ale to był tylko złamany słup od lampy. W odpowiedzi na ich wystrzał posypały się strzały z głębi ulicy. Świetlne pociski przelatwały iskierką na tle wypalonych ścian. Zapłonęły rakiety.

Wrócili rano ledwo przytomni. Wola płonął. Gęste dymy spływały w Ogrodową. Wściekłe ataki niemieckie odpierano na Kercelaku.

Następnej nocy, oddział w którym była Oleńka otrzymał rozkaz odejścia na Stare Miasto. Przemaszzerowano Elektoralną, Placem Bankowym, Rymarską, Przejazdem, Długą. Wszędzie pełno było ruin i pożarów. Od trzech dni szalały już bowiem nad miastem samoloty niemieckie. Na Starówce zajęto dom na Kilińskiego. Na tyłach domu było duże podwórze u stóp wysokiego, ślepego muru, pokrytego częściowo winem. To tam, pod tą ścianą został ustawiony ołtarz polowy. Ksiądz Stefan codziennie wieczorem odprawiał na nim mszę. Na podwórzu poczęto grzebać pierwszych poległych...

Pierwszy dzień po przyjeździe z Ogrodowej upłynął pod znakiem ciszy. Wysoko na niebie warczały i kręciły się niemieckie samoloty, ale nie rzuciły bomb.

Była cisza, spokój, złote słońce całujące dachy domów. Czasami słyszeli huk dział. Czasami wzmagała się strzelanina gdzieś na Krakowskim Przedmieściu. Wieczorem dopiero poczynali bić armaty spod mostu Kierbedzia. Te dwa dni żyli bujnym życiem żołnierzy, którzy się o jutro nie troszcą. Czerwone wino, którego kilka beczek znaleziono w podziemiach, łało się strugą. Były niemieckie konserwy ze Stawek, esesowska „tygrysią bluzę“, hełm i upajające wieści z bliskiego frontu na Świętojańskiej, Podwalu, Miodowej, Placu Teatralnym. Chłopcy chodzili tam na stanowiska, obstrzeliwali niemieckie pojazdy. Chodził tam także ksiądz Stefan z brewiąrzem na piersi, ubrany jak wszyscy w „tygrysią bluzę“. Nie myśleli o tym co się dzieje na pozostałej części miasta. Upajali się wojną i wiarą, że to może już jutro, czy pojutrze nadejdzie zwycięstwo. Modlono się o broń, entuzjastowano się nocnymi zrzutami.

Nagle — po dwóch dniach ciszy Niemcy uderzyli na Starówkę. Po raz pierwszy usłyszano ryk miażdżących wszystko „szaf“. Szpital na Kilińskiego poczęł się napełniać rannymi. Nieprzyjaciół stara się wtargnąć przez Miodową. Tylko odwadze „Zyndrama“ należało zawdzięczać utoczonej ze wszech stron barykady. Rozpoczęły się gwałtowne naloty. Gdzieś koło ósmej rano nadlatywały pierwsze samoloty — przeważnie trzy nurkowie. Wynurzały się w niskim locie zza domów na Barokowej. Leciały wzdłuż Długiej warcząc wściekle. Zdawały się dra-

pieźnie wypatrywać zdobyczy. Rzuciły bomby — każdy aparat po dwie razem sześć bomb. Bomby nie wybuchły od razu, ale dopiero po dobrych kilku sekundach.

Oleńka była zajęta cały dzień, że nawet nie miała czasu na myślenie. Przede wszystkim ranni. Było ich wielu i sił już brakło by ich obsługiwać, zmieniać opatrunki, pomagać w operacjach, rozdzielać lekarstwa. Lekarze wychodzili z siebie.

Oprócz rannych byli jeszcze zdrowi, którym trzeba było robić każdego wieczoru tysiące drobnych nie kwalifikujących się w ogóle do zawracania głowy lekarzowi opatrunków, nieraz pomagać zreperować podarte ubranie. Dwoiła się, troiła, zapominała o śnie, o jedzeniu, o wszystkim. Godziny biegingy aż nieoczekiwanie przychodził wieczór o czym się dowiadywała od jednego z małych łączników — harcerzy, który przychodził po nią ze słowami: „siostró — awansowała do tego tytułu — ojciec Stefan siostrę szuka“. Wtedy odkładała rzeczy mniej pilne i szła przygotować ołtarz do wieczornej mszy. O tej porze robili się nieco ciszzej. Pierwszy zmierzch zstępował na miasto, dymy pożarów spływały nisko na niebo oczyszczające się pod wieczór z pyłu i dymu występowała luna. Pożary otaczały ich wieńcem ze wszystkich stron, najwięcej jednak od strony Woli. Ksiądz Stefan szedł po Najświętszy Sakrament, który stał w korytarzu piwnicznym w załomie muru. Na podwórzu wychodzili ranni, ludność, żołnierze, którzy nie byli na posterunkach.

Mieli wciąż sukcesy, małe ale stałe. Odpierali ataki, brali jeńców, zdobywali broń. Pierwszej niedzieli na Starówce pod wieczór, kiedy kręciła się przy rannych, przybieg mały harcerz „Leonidas“, ten który ją zwykle wzywał do ojca Stefana — z wielkim krzykiem: „Niech siostra idzie! Niech siostra idzie! Nasi zdobyli czołg!“ Pobiegła, wszyscy zresztą biegli do drzwi lub pchali się do okien. Mieszkańcy opuścili mieszkania. O tej porze ustawało już bombardowanie, kończyły się naloty. Biegła z tłumem przez podwórze. Popędzał ich entuzjazm. Dzieci wyrwawszy się wreszcie z głębi piwnic, rozkrzyżowane, z chorągiewkami w rękach rozpychały się między starszymi. Wołano: „Słyszeliście? Nasi zdobyli czołg! Nasi chłopcy...“ To brzmiało jak muzyka. Ulice pełne były cywilów i żołnierzy. Czołg sapał na Podwalu za barykadą. Wrzeszczano: „Hej, no! Podjedźcie tutaj“. Tamci odpowiadali: „Dobra! Zaraz! Tylko zwali się kilka płyt“. Wreszcie płyty zwalone, stalowy potworek poczęł się wspinać na ułożoną z płyt barykadę. Stanąwszy na niej, chybnął się i dość gwałtownie ześlizgnął się na bruk. Ale już wszyscy biegli ku niemu. Radość wyzwalała się krzykiem. Jadący na czołgu chłopcy machali rękoma.

Nagle — słup ognia uderzył w górę. Oleńka poczuła jakby straszliwy cios w piersi, który zdawał się zdzierać z niej ubranie i miażdżyć klatkę piersiową. Czuła że leci w tył, a jednocześnie razem z nią leci wszystko — ludzie, dymy, barykada. Piekący żar owiał jej policzki. Nieoczekiwanie wyrósł za jej plecami mur, ona zaś uderzyła w niego całym ciałem. Wtedy zwinęła się i padła. Otoczyła ją głucha cisza — po prostu śmiertelna cisza. Nie zemdlą, czuła zbyt wielki ból w piersi. Rozszerzonymi z przerażenia oczyma widziała wszystko — ten stos ciał — nie — ciał, który zaległ jezdnie i chodniki. Ciągle jeszcze nie słyszała nic, nawet własnego jęku. Ale cisza się wreszcie skończyła. I wtedy otoczył ją przerażający krzyk — raczej nieludzkie wycie. Masa leżących wyła. Może zresztą nie wszyscy wyli. Ujrzała tuż obok siebie rękę dziecka. Dalej leżała kobieta naga, tylko w staniku na piersiach, ale bez głowy. Jeszcze dalej dwie nogi w wysokich butach i rozszarpany brzuch. Chodnik wokoło niej był jedną kałużą krwi. Jedni ludzie leżeli na drugich. Kobiety były przeważnie nagie — wściekły pęd powietrza pozdzierał z nich lekkie sukienki. Oleńka podniosła wzrok. Na obdartym z gałęzi i liści drzewie wisiały krwawe ochłapy ludzkiego ciała. Straszliwy smród napełnił ulicę.

Poczuła zawrót w głowie. Ten smród był blisko niej. Pomyślała, że ma chyba rozdarta pierś. Ale pierś była cała. Zrobiła ruch chcąc się dźwignąć. Wtedy przeszył ją okropny, wierzący, sięgający w głąb ciała ból. Spojrzała po sobie i zobaczyła, że jej lewe biodro i cała lewa noga ociekają krwią. Strzępy sukienki i bielizny były zczerniałe, zwęglone. Miała uczucie że ten smród — smród spalonego ciała — zięje po prostu z niej. Jeszcze raz zrobiła jakiś nieopatrzny ruch: Ból przeszył ją aż do głębi. Upadła twarzą na okrwawiony bruk. Zemdlą.

Leżała ich potem dziewięć w małym pokoiku na parterze. Wszystkie były ranne podczas tego tragicznego wybuchu. Dni były coraz cięższe. Co godzina nalot. Co dziesięć, co piętnaście minut — zgrzyt czy skrzyp — w jakimś nieokreślonym zupełnie kierunku, czasem silniejszy, czasem słabszy. Na ulicy gwałtownie rzucali się do bram, w mieszkaniu przyciskano się do ścian, mrużono oczy. Mówiło się: „Nakręca“. Potem łoskot, pęd powietrza, czarny dym, tuman kurzu. Pozbawione szyb ramy okienne drżały boleśnie. Leżąc na swych siennikach na ziemi unieruchomione dziewczęta patrzyły beznajdziejnie na wciąż to tu to tam rysujący się sufit. Zwolna nauczyły się pokonywać lęk, gdy nad domem kręciły się warczące samoloty, a potem pikowały z ostrym świstem. Zostawały wtedy same, bo kto mógł uciekał w chwili nalotu do piwnicy. Modliły się cicho. Modliły się coraz więcej.

Dni płynęły za dniami, przynosząc coraz groźniejsze, coraz bardziej skrywane wieści. Batalion krwawił się w ruinach katedry, na Kanonii ustępował dom po domu wzdłuż Świętojańskiej, wreszcie wrosnął w mury staromiejskiego rynku. Coraz więcej brakło ludzi, coraz więcej przybierało rannych. Padło Nowe Miasto. Wróg wdzierał się w ulicę Bolesć. Poczęły chodzić wersje o ewakuacji Starówki. Brakło jedzenia, brakło wody. Brakło środków opatrunkowych...

Oleńka zdawała sobie dobrze sprawę z sytuacji, a mimo to myślała o niej coraz mniej. Modliła się. Początkowo modlitwa przychodziła jej z trudem, musiała się zmuszać do uwagi. Potem zwolna modlitwa poczęła ją pochłaniać. Ksiądz Stefan wpadał do niej rzadko, miał przecież tyle do czynienia z umierającymi. Nie prosiła go, aby siedział u niej dłużej. Nie potrzebowała nikogo.

Którejś nocy miała dziwny sen. Przyszli do niej ksiądz Tomasz, Danek i Władek. Przyprowadzili za ręce jakiegoś człowieka ze schyloną głową. „Kto to taki?“ — pytała. Wtedy tamten podniósł głowę i ona go poznała. „Ty wiesz?“ — mówił Danek — on nas wszystkich zabił“. Skinęła głową. „Wiem“. „I ciebie także zabije“. Zamyśliła się, potem rzekła: „Czy ja będę ostatnią, którą on zabije?“ Nie odpowiedzieli jej. Ona i tamten stali wśród prędko lecących obłoków. „Jeżeli ja będę ostatnią...“ — mówiła. Zdało jej się, że widzi płonąca Warszawę i wielu, wielu zabitych. Wyciągnęła ręce. Powiedziała: „Weź moje życie zamiast mojej miłości...“

Obudziła się późno. Był to dwudziesty dziewiąty sierpnia. Front na rynku staromiejskim huczał strzałami. Nalotów tego ranka nie było.

Dopiero koło południa posłyszały warokot. Zdrowi zeszli do schronu, one leżały spokojnie na swoich posłaniach. Drapieżne ptaki krążyły gdzieś wysoko prawie nad ich głowami. Potem z gwizdem poszły w dół. Zdawały się lecieć nisko, prosto na ścianę domu. Wielkie cienie przemknęły nad ulicą, niby unoszone wiatrem płachty. Czarny kształt mignął przed oknami. Nagle wszystko się zatrzęsło. To nie był huk, ale kataklizm. Oleńka zobaczyła jak ściana pokoju leci wprost na ich posłanie. Biało czerwony tuman ogarnął je zewsząd. Po dłoga zdawała się ustępować i toczyć się gdzieś w dół, w głąb, razem z nimi. Jeszcze któraś z dziewcząt głosem zdławionym przez pył, zawołała: „mamusiu!“ Odpowiedziała jej ale chyba już tylko w sercu, ostatnim oddechem świadomości: „Maryjo“

Jan Dobraczyński

Marek Antoni Wasilewski

Warszawa 1945.

Na ruinach porośniętych chwastami,
W szczątkach domu pożartych przez ogień,
Został portret młodej, pięknej damy,
Która piersi ukrywa za głogiem.

Na balkonie w skrzynkach z ziemią,
Mimo klęski zakwitły petunie
I spokojnie w żardnierach swych
drzemią, —
Do nich dama uśmiecha się cudnie.

Wczoraj balkon się zwałił zdradziecko,
Znikły blado-liliowe petunie,
Upadł, raniąc niewinne nic dziecko,
Dama z głogiem uśmiecha się w próżnię.

* * *

Elektryczna latarnia zgięta w kornym
ukłonie
Zgubiła klosz, niezbędny cylinder
I zawisa głową na zniszczonym balkonie,
Jakby ona, nie pijak zalała się bimbrem.

A jej siostra z przeciwka wsparła głowę
o asfalt,
Jak żyrafa żelazna z kałuży pijąca.
Pamiętała huk bomby; potem zgięła się,
zgasła
I stoi tak wygięta, już ostygła z gorąca.

* * *

W piwnicy biały jak szron popiół,
Spalone książki — mądrość zniszczona.
Dla jednych wiedza, dla innych opium,
Zawarte w białych skruszonych stronach.

1945 r.

Z głębi piwnicy Z TEATRÓW

JAK już pisaliśmy, ukazało się drugie wydanie książki M. Rusinka „Z barykady w dolinę głodu”. Książka napisana z talentem i temperamentem, ma niewątpliwie wiele zalet, zwłaszcza gdy opisuje życie obozowe w Mathausen, ale tym niemniej posiada także wiele ciemnych kart w części wstępnej, przedstawiającej warszawskie powstanie.

Autor czy nie autor — ten „ja”, który pisze, jak widać, nie brał udziału w powstaniu — co uważa za rzecz zupełnie zrozumiałą. Trochę nas to dziwi. Minęły już czasy hurra-ataków na powstanie i wyzwierzań się różnych państw. Na szczęście już się teraz umie odróżnić bohaterstwo od błędów politycznych, obowiązek walki od kanapowego rezonerstwa.

No — ale nie walczył. Coś tam jako by gasił. Poza tym może już wtedy zbierał materiał do książki. Obserwował. Szkoda, że tak kiepsko. Dla tych, co w Warszawie nie byli — może by to i wystarczyło. Dla tych, co akurat byli, robi to wrażenie obserwacji z — głębi piwnicy.

Drugiego sierpnia „szafa zaiwanila w oficynie”. Nieprawda. Pierwszy strzał z moździerza padł na Starówkę 9 sierpnia. Przy tym szafy nie waliły nocami. „Naloty bombowe zaczęły się punktualnie o szóstej rano i będą w odstępach kwadrans dransa zrzuciły ładunki”. Nie przesadzajmy. Niemcy lubili wystrzał, więc przylatywali pierwszy raz dopiero po ósmej, po czym powracali — co godzinę. To wystrzelało, ale po co zaraz robić piwniczną atmosferę? Czasem „zejdzie też jakiś szkop do dół” do kanału... Nie, nie. Ci, co chodzili kanałem Niemca, jako żywo na dole nie widzieli.

A to społeczeństwo warszawskie, ujrzałe oczyma Rusinka! „Jesteśmy oszukiwani — oto słowa, które mówi się już coraz głośniej”. „Gdzie jak gdzie, ale właśnie na Starówce nikt tego niesłyszał. Właśnie ta uboga, rzemieślniczo-robotnicza dzielnica aż do końca była nieugięta i nieustępliwa. Rusinek ujrzał w owym sierpniu jakieś historyczne wybuchy antysemityzmu... Jeżeli się coś takiego działo, to chyba tylko w wielkich głębiach piwnicznych! Bo gdzie indziej tego nie było. Żydzi, którzy byli na Starówce, zgłosili się do pracy i nosili z dużą ofiarnością produkty z magazynu na Stawkach, zaś po jego spaleniu z PWPW. Traktowani byli życzliwie, przed upadkiem Starówki specjalnie dbano o to, aby mogli odejść kanałem do śródmieścia. Więc co to za brednie o tej „świeżej herbacie” i te jakieś chorobliwe wizje tych, co „ciągnęli brodate słowy zabitych żydów”!

A ci żołnierze! „Na rogu Kilińskiego... śpiewają żołnierze... może piją... Niech piją!... Niech kochają się przed zagładą, bo może jutro będzie za późno...”. Drogi autorze, trzeba było wyjść z piwnicy i zobaczyć tych „pijących” i „kochających się” żołnierzy z Kilińskiego. Kwaterowały tam właśnie dwa harcercy bataliony J. „Gusiaw” i „Wigry”. Te, których krwią złane są świętojańska, Rynek Staromiejski, Kałonia, Miedowa, Podwale... Bataliony wysłuchujące co wieczór Mszy św., bataliony, których żołnierze codziennie i masowo przystępowali do Komunii św... Duża pomyłka i źle skierowane wezwania!

U Rusinka „Chrystus ucieka w powiół, czystych szatach z kościoła”. Na kimże Chrystus sprzed kościoła św. Krzyża robi wrażenie uciekającego? Chyba tylko na tym, kto chciałby Go udrzec uciekającym...

Obraz powstania, ujrzanego z głębi piwnicy, pachnie i bląga i — co gorzej — tendencyjnością

„GRUBE RYBY” Michała Bałuckiego w Państwowym Teatrze Polskim

„Grube ryby” zrobiły karierę nad stan, awansując na klasyczną komedię obyczajową i zdobywając poczesne miejsce w tym, co nazywamy żelaznym repertuarem. Od swojej prapremiery w ogródkowej „Bellevue” w Warszawie przed laty z okładem sześćdziesięciu — macierzysty Kraków zagrał je nieco później — nietylko skokietowały sobie publiczność i krytykę, ale weszły w krew naszym aktorom. Styl, w jakim się je podaje, należy do tradycji. Choć i teraz trochę blaha, mało wartościowe i w wątku niemal złośliwie anemiczne, pozwala ją w każdym pokoleniu aktorskim na manifestację indywidualności i pomysłowości wykonawczej. Bo też, powiedzmy od razu, poza sztukami Józefa Blizińskiego, trudno w oczach Bałuckiego o wyrazista, żywotniejsza i ponętniejsza dla aktora kolekcję typów, niż typki, które spotkały się w „Grubych rybach”.

Nikogo chyba nie trzeba przekonywać, że nie są to typy jakichś ludzi niezwykłych, ponadprzeciętnych. Przeciwnie, najmniej spostrzegawczego konsumenta teatru łatwo musi uderzyć w „Grubych rybach” dosadniejsza, ponieważ bójniej, z większą komediopisarską wirtuozyją, aniżeli w innych „wesołych sztukach” pokazane przez Bałuckiego pospolitactwo, chemicznie czyste... wieprzowatość mieszczańskich światła. Ten drygliwy pokrakowiaczek, dziadunio Ciaputkiewicz, którego dzień powszedni płynie tak bezbarwnie od śniadania do kolacji, bez żadnych wstrząsów intelektualnych i odczynianych, z błogostanem punktualnej drzemki poobiedniej, sprzyjającej trawieniu i odświeżającej po niesłychanym wysiłku, którego wymaga przeczytanie gazety; ta nijaka babunia, posłuszna wrośta w senność niezłego urzędnika się w życiu, gdzie wszystko reguluje przyzwyczajenie; ci obaj nielitościwie jełopowaci, szarzy, starzy kawalerowie, z których pierwszy streszcza się w katarze żołdaka i chęć przejechania się do c. k. Władnia, a drugi radby nie nadwierać w mieście krzepy, szarpnięty kiedyś w niewybrednych wiejskich miłośkach; ów ta tunio — zrzęda z węzłem w kieszeni; ów młody wałkoń, który liczy, że się ożeni

inkrustowane przez aktorów wątpliwymi ozdobiakami i wtrętami, np. „No, chodźże, moja ty ulegalko”, wydłużanie sytuacji w nieskończoność (początki aktów, koniec I aktu, parę scen w I i II) chybia efektu o tyle, że daje widokowi nadwyżkę monotonii zamiast koniecznej werwy. Wogóle, braku jednolitości, skupienia, wyraźnej linii, która zginęła w szczegółach i szczegółikach.

Co do obsady, odniosłem wrażenie, że „grube ryby” Wistowski — p. Dominiak i Pagatowicz — p. Todik chwyciły się jak najstaranniej za kreowanego ni stąd, ni zowąd na rybę jeszcze od nich grubszą Ciaputkiewicza. To duży błąd, zasadniczy błąd. Występ p. Solskiego stanowi dla Warszawy nielada wydarzenie artystyczne, p. Solski jest z najciekawszych w tamtej generacji aktorskiej, nosicielem najczystszej tradycji, specjalną kartą w dziejach naszego teatru, ale właśnie w imię tego nie wolno zaburzać sensu i krzywić konstrukcji komedii, przemieszczając plany gry i wprowadzając jaskrawe dysproporcje. Krótko, w tej zabawie w chowanego za Solskiego było coś niesmacznego i płaskiego. Szkoda. Wprawdzie p. Dominiak, aktor wybitnie utalentowany, utrzymał bez trudu Wistowskiego w nieskazitelnej aurze komediowej, co kiedy reżyser nie pogłębił mu wizji psychologicznej, puścił go na łatwizny i lanie efekci! A wynik? Postać nieprzekonywująca. Teraz p. Todik. Talent to niewątpliwie, acz nierówny, o oddechu krótkim, niedość podbudowany kultura, wymaga dobrej ręki. Jego Pagatowicz, i serdeczny i grzejki, rozchwiewał się między komedię i farsę. P. Godik włożył w to chwianie się wiele rzetelności i pracowitości i w paru momentach błysnął niezaprzeczoną oryginalnością.

Kobieca część obsady i amant w roli Henryka — wszyscy na poziomie poprawnej prowincji. Zato Filip p. Aleksandra Boguskińskiego pysznie utrzymany na granicy karykatury.

Dekoracje „w stylu”. O grze p. Solskiego pisze oddzielnie p. Bacewiczówna. Ja pozwolę sobie na jedną tylko uwagę: smutno, że Polska,

W DRUGĄ ROCZNICĘ ŚMIERCI

dn. 7 sierpnia w wewnętrznej kaplicy O. O. Marianów przy ul. Wileńskiej Nr. 69 o godz. 9.30 zostanie odprawione nabożeństwo żałobne za duszę

ZDZISŁAWA PIASECKIEGO

żołnierza plut. „Mieczyków” w ugrupow. płk. „Radosława”

za pieniądze stryja, wystrychniętego na dudka, na koniec owe dwie gaski, głupie lecz sprytnie, których jedyną zaletą, że po zamążpójściu zaczęły rodzić dzieci, — czyż cały ten ludzki zwierzynek nie napawałby wstrętem, gdyby oddalenie w czasie nie przyrzucano mu szanowności, nie przysłałoby jego gburowatych konaturów mgiełka egzotyizmu, bodajże poezji i sentymentu?

Otoż to, sentyment! Styl, w jakim tradycyjnie podaje się „Grube ryby”, należy do stylów sentymentalnych, zapanował z rokoko i biedermeierem. Łączy się w nim udanie słodka rzewność z pikantną rubasznością. Ażeby weń trafić i w nim się utrzymać, wystarcza aktorowi intuicja i zacięcie improwizatorskie, gdyż w „Grubych rybach” co rola, to — jak mawia się za kulisami — samograj. Oczywiście, aktor o uosobieniu analitycznym również trafi w styl właściwy przez studium i pracę. Widziałem „Grube ryby” w Warszawie nieraz. Mieczysław Frenkiel brał Wistowskiego głównie na wycieczki, elektryzował go, ładował swą osobowością, dokompletował „gierkami” i nagłymi improwizacjami, stwarzał kapitalną postać, promieniącą mocniej, albo słabiej zależnie od przelotnego nastroju artysty. Jeśli można się wyrazić, raczej go przecieplał. Inaczej podchodził Kazimierz Kamiński. Kamiński swego Pagatowicza rozszczepiał na pierwiastki psychiczne, studiował, potem kleił go znowu do kupy, dopasował do niego odcienie gry, przymierzał gesty i intonacje, napełniał się osobowością postaci. Rezultat osiągał wspaniały: stwarzał postać niezapomnianą. Władysław Wojdałowicz, po Wojdałowiczu zaś Antoni Bednarczyk, jako Ciaputkiewicz, próbowali udowodnić, że dziadzio Nufcio jest okropnie kochany. I Ciaputkiewicz Wojdałowicz był okropnie kochany, bo taki był sam „Wojdała” z natury i talentu. Nufcio Bednarczyka mimo że chłodniejszy i trochę kostyczny, miał ten jednak wielki plus, że nie pchał się przed Wistowskiego i Pagatowicza, tytułowe „grube ryby”.

Jak wypadły „Grube ryby” obecnie w Państwowym Teatrze Polskim? Wyznać rozczarowuję mnie; zwłaszcza, więcej się po nich spodziewałem od strony reżyserskiej. Istotnie tekstu w nich ciągle za skąpo, jednak dosztykowanie go,

zadużywszy się u Solskiego z tytułu tego, co życiem i swoją sztuką dokonał, nie chce mu zapewnić dostatniego kąta, spokoju, odpoczynku, uwolnić od telepania się po kraju fatygującym tepsowym wózkiem, jak za szesnastych lat, od terania sił, które w tym wieku nie są przecież tak niespożyte, jak się wydaje płytkim naszym gryzmołom od spraw teatralnych. Janusz Kawecki.

„Grube ryby”

Wzruszenie, jakie w każdym miejscu i czasie musiałoby ogarnąć publiczność na widok dziesięćdziesięciu-dwu-letniego aktora ze swobodą grającego swą rolę, nie należy do gatunku przeciętnych przeżyć. Jakież zatem wzruszenie musi w nas się budzić, gdy aktorem tym jest artysta tej miary, co Ludwik Solski. Podziw dla wielkiego geniusza sceny najlepiej chyba wyraziła spontaniczna owacja widowni na premierowym przedstawieniu „Grubych ryb”. Sam fakt, że Solski na swój jubileusz 70. lecia pracy scenicznej — obchodzony w Krakowie — przygotował nową, tysiąc którą rolę, wywołuje admirację dla tego niespożytego ducha twórczego. Mówię „twórczego”, gdyż każda kreacja Solskiego zawiera pierwiastki twórcze. Wystarczy wymienić jego Chudogę z „Wieczoru trzech króli” Schakespear, Judasza z Kariotu Rostworowskiego, Pana Jowialskiego Fredry, Dymitra — Samozwanca i Fryderyka Wielkiego Nowaczynskiego oraz Wiarusa z Warszawianki. Dość też wspomnieć jego pracę reżyserską, która polegała między innymi na tworzeniu „nowego stylu w teatrze”. Zasluga jego w tym kierunku jest ogromna. Przed Solskim każda sztuka wystawiana była z punktu widzenia głównych ról; nie dbano w dostatecznym stopniu o artystyczną całość, co jest przecież niewybaczalne, jeżeli chodzi o ogólny wysoki poziom przedstawienia. Solski podejmuje bezwzględnie walkę z jałowością w teatrze, z tradycją w złym tego słowa znaczeniu, unowocześniając charakter przedstawień. Słusznie zasłynął jako demon pracowitości. Znany jest fakt, że przesiadywał on w teatrze od rana do późnej nocy, przejmując się każdym, naj

drobniejszym szczegółem przygotowywanego przedstawienia, sam wszystkiego dopilnowując: prób aktorów, dekoracji, kostiumów, efektów świetlnych i t. d. Nie było wypadku, aby przed wyjściem każdego aktora na scenę Solski nie obejrzał go, nie zlustrował kostiumu i charakterystyki. Posiadając niezwykłą intuicję aktorską i bogactwo imaginacji twórczej, pragnie jako reżyser przelać w każdego aktora to, co sam czuje w danej roli.

O niezwykłych rysach Solskiego, jako aktora, reżysera i dyrektora, możnaby tak pisać bez końca.

Teżyna i wytrwałość Solskiego jest doprawdy imponująca, zwłaszcza jeżeli wziąć pod uwagę wszystkie niedole wojenne, które artysta łącznie z powstaniem warszawskim przeżył. Niejeden z naszych wielkich aktorów nie wytrzymał próby wieku i zmanierował się w mniejszym lub większym stopniu, w taki lub inny sposób uległ starości — Solski pozostał niezutyty, wciąż krzepki i świeży. Świadczy o tym niezbita choćby wspaniale odegrana scena, w której jako Ciaputkiewicz z młodzieńczą werwą zachwala staremu kawalerowi w akcie II gim rozkosze stanu małżeńskiego.

„Grube ryby” nie należą do rzędu sztuk krytycznych, a pomimo to przedstawienie w reżyserii Solskiego wypadło artystycznie. Jak to słusznie napisał krytyk Boy „Grube ryby to „coś niby staroświecki grajek, który wyrzucono gdzieś na strych, odszukany i odrestaurowany umiejętną ręką, zajmuje honorowe miejsce za szymba serwantki w wykwitnym salonie — podczas gdy „za życia” był jedynie niewybredną ozdobą ekonomskiego dworku. Czas okazał się w tym wypadku wielkim artystą, dał utworowi Bałuckiego nawet to, czego współcześni z trudnością mogliby się w nim dopatrzeć: promyk poezji. Weźmy lada szczegół, np. ten kadryl, którym kończy się tak paradnie akt pierwszy...”. Scena ta w reżyserii Solskiego wypadła rzeczywiście uroczo i poetycznie. Solski „grał” na skrzypcach wspaniale (synchronizacja ruchów i dźwięków dolatujących zza sceny doskonała; reszta zespołu również zachowuje pełen wdźwięk. A wystarczałoby odrobina szarzy, aby scena ta wypadła po błaznisku. W Bałuckim niedopuszczalne jest jakiegokolwiek prostactwo. Przy reżyserii, oraz przy grze, jaką dał nam Solski wraz ze swymi partnerami, „Grube ryby” wypadły wdźwięcznie i sielankowo, dzięki czemu przedstawienie jest dla publiczności prawdziwą zabawą i wytchnieniem. Z perspektywy czasu ostrość satyry obyczajowej, dobroduszej zresztą jak zwykle u Bałuckiego, musi zniknąć w obliczu olbrzymich przemian, jakie się w świecie dokonały. Doskonałe typy, stworzone przez Bałuckiego — staroświeckie, ale bardzo żywe, zostały świetnie uwytkowane. A więc Ciaputkiewicz w interpretacji Solskiego — pełen temperamentu dziadunio, uwielbiający swą wnuczkę, zabawnie przekomarżający się ze swą Dorotą, grający w wista (niezapomniana scena!), balansujący po zakropionym wódeczką śniadaniu i t. d. i t. d. Władysław Godik i Franciszek Dominiak byli godnymi partnerami Solskiego. Zwłaszcza Godik znakomicie odegrał rolę Pagatowicza. Komizm, z jakim prezentuje on swą nieporadność życiową, budzi prawdziwy sentyment. Dominiak jako Wistowski był również doskonały, chwilami tylko za mało swobodny. Krystyna Królkiewicz zresztą wywiązała się ze swej trudnej roli rozbrykanej wnuczki Ciaputkiewicza. Natomiast Zofia Dobrzańska brakło naturalności i wdzięku starej babuni. Również Norbert Nader blado wypadł w małej i niewdzięcznej zresztą roli młodego amanta. Saturnin Butkiewicz jako Burczyński, grał nieźle. Aleksander Boguskiński (służący Filip) jest tylko poprawny. Dekoracje Mieczysława Nalewajskiego trafnie oddały styl mieszczańskiego domu z lat 80. latych.

Wanda Bacewiczówna

ZAKONNICE NAJSWIĘTSZEGO SERCA JEZUSOWEGO W ZBYLI TOWSKIEJ GÓRZE, P. TARNÓW, WOJ. KRAKOWSKIE

otwierają od jesieni internat.

Zakład położony na wsi, w Zdroju, podgórskiej okolicy.

Przyjmuje się uczennice do wyższych klas szkoły powszechnej, do Gimnazjum Ogólnokształcącego, do Rocznej Szkoły Gospodarczej i do Liceum Wielkiego Gospodarstwa Kobiectwa.

Złóżenia kierując do Przełożonej Zakładu.

ŻYCIE GOSPODARCZE

PLAN INWESTYCYJNY

I.

Plan inwestycyjny, przedłożony Krajowej Radzie Narodowej na okres od I.IV 1946 do 31.XII 1946 r., jest budżetem majątkowym Państwa, przewiduje bowiem zmiany w państwowym stanie majątkowym, a równocześnie ogólnym planem inwestycyjnym, obejmującym obok inwestycji w sektorze państwowym, również inwestycje w sektorach spółdzielczych i prywatnych, przeprowadzane przy pomocy Państwa.

Plan inwestycyjny składa się z projektu ustawy o tymczasowym planowaniu inwestycji i o planie finansowania inwestycji, oraz z właściwego planu, t. zn. z zestawienia wydatków inwestycyjnych.

Wymieniony projekt ustawy określa: 1) globalną wysokość planu, 2) jakie inwestycje są wzgl. mogą być objęte planem, 3) źródła pokrycia planu, 4) zakres dopuszczalnych zmian w planie („virement” oraz tryb ich przeprowadzania).

Właściwy plan, t. zn. zestawienie wydatków inwestycyjnych, dzieli się na dwie części. Część pierwsza (tablica I) zawiera inwestycje w ramach kredytów skarbowych wzgl. dotacji oraz kredytów bankowych. Część druga (tablica II) zawiera inwestycje dokonywane ze środków własnych inwestorów.

Część pierwsza dzieli się na 21 działów, w tym 18 działów stanowią Ministerstwa, a poza tym spółdzielczość, izby przemysłowo-handlowe i izby rzemieślnicze. Działy dzielą się analogicznie do preliminarza budżetu administracyjnego na rozdziały, paragrafy i pozycje. Sumy są rozbita na trzy kwartały, a w każdym kwartale jest wydzielona suma kredytu skarbowego wzgl. dotacji i kredytu bankowego. Tablica II wymienia tylko grupy inwestorów, rodzaj instytucji i kwotę włączoną do planu.

Projekt ustawy w art. 1 określa projektowany w tej ustawie tryb planowania, jako tymczasowy, do czasu sporządzenia szczegółowego planu inwestycyjnego, przewidzianego w art. 5 ust. 1 dekretu o państwowym planie inwestycyjnym. Dekret ten jednak dotychczas nie został ogłoszony.

II.

W myśl art. 1, 2 i 7 projektowanej ustawy plan obejmuje następujące inwestycje:

1) inwestycje wymienione szczegółowo w planie tablicy I, które są finansowane przy pomocy kredytów Skarbu Państwa, dotacji lub kredytów bankowych,

2) inwestycje wymienione w tablicy II, finansowane ze środków własnych inwestorów,

3) inwestycje niezamieszczone w przedłożonym planie, a dokonywane przez osoby fizyczne i prawne prawa prywatnego wg. zleceń i wytycznych Ministerstwa Skarbu i Centralnego Urzędu Planowania. Należy przypuścić, że objęcie planem tych inwestycji stanowić będzie podstawę do uzyskania dla nich tych pomocy Państwa, które przewiduje wzgl. będzie przewidywał wspomniany powyżej dekret o państwowym planie inwestycyjnym.

W świetle przepisów niniejszej ustawy sektor państwowy nie może dokonywać żadnych inwestycji poza powyższym planem. Natomiast sektory spółdzielczy i prywatny mogą przeprowadzać inwestycje nieprzewidziane w omawianym planie, jednakże wówczas nie mogą liczyć na pomoc Państwa ani finansową, ani materialną (np. przydział surowców).

III.

Ogólna suma wydatków inwestycyjnych wynosi 40.404.200.000 zł. Repartycja powyższej sumy na poszczególne główne grupy inwestorów przedstawia się następująco:

Min. Komunikacji	12.642 milj.	31%
Przemysłu	10.055 milj.	25%
Odbudowy	5.725 milj.	14%
Rolnictwa	4.070 milj.	10%
Zegl. i H. Zagran.	2.228 milj.	5,5%
Poczt i Tel.	1.078 milj.	2,5%

35.798 milj. 88,0%

Na pozostałe Ministerstwa i inne grupy inwestorów przypada suma 4.606 milj., co stanowi zaledwie 12% ogólnej sumy wydatków inwestycyjnych.

W dziale Ministerstwa Komunikacji preliniuje się na koleje normalnotorowe — 7.670 milj. (66% sumy wydatków w tym dziale), na drogi kolowe — 2.100 milj., na drogi wodne — 1.200 milj., na lotniska — 1.098 milj.

W dziale Ministerstwa Przemysłu preliniuje się na przemysł energetyczny — 1.800 milj., na przemysł węglowy — 1.660 milj., na przemysł hutniczy — 1.600 milj., na przemysł metalowy — 1.200 milj. Łącznie na t. zw. ciężki przemysł przypada suma 6.260 milj., co stanowi 62% wydatków w tym dziale.

W dziale Ministerstwa Odbudowy kolejność preliniuowanych sum jest następująca: odbudowa m. Warszawy — 1.922 milj., m. Łódź — 1.593 milj., odbudowa wsi — 1.940 milj., przemysł materiałów budowlanych — 270 milj.

W dziale Ministerstwa Rolnictwa i Reform Rolnych preliniuje się na akcje siewną — 1.100 milj., na zagospodarowanie majątków, znajdujących się w posiadaniu zarządów państwowych nieruchomości ziemskich — 1.000 milj., na uporządkowanie akcji parcelacyjnej — 450 milj., na obwałowanie i konserwację melioracji — 400 milj.

W dziale Ministerstwa Żeglugi i Handlu Zagranicznego największą pozycję stanowi odbudowa portów z sumą 1.354 milj.

W dziale Ministerstwa Poczt i Telegrafów gros wydatków przypada na urządzenia tele-komunikacyjne (828 milj. zł.).

Na pokrycie powyższych wydatków plan przewiduje:

1) kredyty skarbowe wzgl. dotacje w wysokości	13.384,5 tys.
2) kredyty bankowe	24.779,7 tys.
3) środki własne inwestorów	2.240,0 tys.

40.404,2 tys.

Specyfikacja wymienionych sum nie jest podana. Natomiast projekt ustawy wymienia następujące źródła:

Dla kredytów wzgl. dotacji Skarbu Państwa:

a) sprzedaż mienia pomemieckiego oraz inne dochody majątkowe Skarbu Państwa,

b) wpływy z Premii Pożyczki Odbudowy Kraju oraz innych wewnętrznych operacji kredytowych Skarbu Państwa,

c) środki uzyskane w ramach pomocy zagranicznej,

d) wpływy z kredytów zagranicznych,

e) oszczędności budżetowe oraz nadzwyczajne dochody skarbowe, o ile nie są przeznaczone na cele specjalne.

Jako podkład dla kredytów bankowych średnioterminowych niezależnie od kapitałów bankowych:

a) fundusze lokacyjne instytucji oszczędnościowych, bankowych i ubezpieczeniowych,

b) wszelkie fundusze o przeznaczeniu inwestycyjnym, a w szczególności Państwowy Fundusz Inwestycyjny i fundusz amortyzacyjny przedsiębiorstw państwowych.

Poza tym projekt ustawy w art. 1 i 2 pkt. c przewiduje przydziały surowców, materiałów oraz przedmiotów, uzyskanych z odszkodowań wojennych i dostaw zagranicznych. Nie jest rzeczą jasną, czy powyższe przydziały są włączone do podanych w planie sum, czy też stanowią osobny, nieogłoszony plan materiałowy.

IV.

Ocenę planu inwestycyjnego należy przeprowadzić z następujących punktów widzenia: 1) strony formalnej, 2) koncepcji gospodarczej, 3) możliwości realizacyjnych.

Plan inwestycyjny jest ujęty w specjalną ustawę, mimo tego, że również ustawa skarbową w art. 1 upoważnia Rząd do czynienia wydatków majątkowych do kwoty ustalonej w Państwowym Planie Inwestycyjnym. Wydaje się, że pełnomocnictwo dla Rządu, wyrażone w ustawie skarbowej, byłoby dostateczną podstawą prawną dla finansowania inwestycji z substancji majątkowej Państwa, przy czym samo zestawienie wydatków inwestycyjnych mogłoby stanowić aneks do ustawy skarbowej, analogicznie do preliminarza budżetu administracyjnego. Natomiast finansowanie środków bankowych w formie kredytów żadnego aktu ustawodawczego nie wymaga. Dlatego też trudno znaleźć uzasadnienie dla specjalnej ustawy o planie inwestycyjnym. Ustawa taka może być rozumiana, jako pewne ograniczenie generalnego pełnomocnictwa, udzielonego Rządowi przez ustawę skarbową, ponieważ wylicza takساتycznie źródła finansowe planu. W ogólności nie należałoby zbyt uoszywniać planu finansowego, który z natury rzeczy winien być elastyczny i dostosowywany do aktualnej sytuacji gospodarczej.

Koncepcja gospodarcza omawianego planu jest wyraźna. Na pierwszym miejscu pod względem wysokości preliniuowanych wydatków znajduje się komunikacja, której braki hamują, a niejednokrotnie wprost uniemożliwiają funkcjonowanie życia gospodarczego. Na drugim miejscu znajduje się produkcja dóbr wytwórczych, będących podstawą wszelkiej produkcji. Na trzecim miejscu figuruje akcja budowlana, która ma zaspokoić minimum potrzeb mieszkaniowych w zniszczonych miastach i wsiach. Na czwartym miejscu znajduje się produkcja rolna, przy czym wydatki w tej dziedzinie wiążą się przede wszystkim z akcją zagospodarowania ziem uzyskanych. Powyższa hierarchia jest uzasadniona istniejącymi warunkami. W miarę jednak uzyskiwa-

nia pewnych osiągnięć na poszczególnych odcinkach ustalony porządek musi ulegać zmianom. Wydaje się, że już w przyszłym roku zajdzie konieczność przesunięcia punktu ciężkości planu z przemysłu na rolnictwo. Poza tym nie będzie od rzeczy, na łamach tego pisma, przy okazji omawiania planu inwestycyjnego zwrócić uwagę na niebezpieczeństwo „szaku” produktywizmu. W odniesieniu do aktualnego planu niebezpieczeństwo to nie zachodzi. Tym niemniej w przyszłości problem ten może stać się aktualny. W związku z tym wydaje się celowym podkreślić, po pierwsze, że koszt inwestycji nie może obciążać substancji sił fizycznych i duchowych człowieka, po drugie, że nie wolno popełniać tego zasadniczego błędu ustroju kapitalistycznego, który oceniał siły ludzkie jedynie jako jeden z elementów kosztów produkcji.

Realizacja planu zależy od wielu czynników, przede wszystkim jednak od wydajności przewidywanych źródeł finansowych.

Źródła finansowe, przewidziane w planie, można podzielić na dwie zasadnicze grupy. Źródła zagraniczne i krajowe. W każdej z tych grup przewiduje się wpływ z kredytów, a poza tym w grupie zagranicznej wpływy z dotacji, a w grupie krajowej wpływy z sprzedaży majątku państwowego.

Źródła zagraniczne o charakterze dotacyjnym — to, jak należy przypuszczać, dostawy UNRRA oraz pomoc Rosji Sowieckiej, przyrzeczona w czasie ostatnich rozmów moskiewskich. Wysokość tych pozycji nie jest opublikowana. Jednakże na podstawie dotychczasowych doświadczeń można traktować źródła powyższe jako realne. Również zagadnienie pożyczki Stanów Zjednoczonych znajduje się ponownie, jak to wynika z głosów prasy, na drodze do pozytywnego załatwienia.

W grupie źródeł krajowych bardzo poważną pozycję może stanowić sprzedaż mienia pomemieckiego. Efektywność tej operacji będzie zależała od dostatecznie komercyjnego sposobu jej przeprowadzenia, a nadto od odpowiedniego psychicznego nastawienia ewentualnych reflektantów. Operacja powyższa w razie udania się miałaby znaczenie nie tylko ze względu na pokrycie dużej części wydatków inwestycyjnych, lecz również z uwagi na możliwość wydręgnięcia w ten sposób prywatnego rynku pieniężnego, do którego Pożyczka Odbudowy dotarła tylko w bardzo nieznacznym stopniu.

Emisja nowej pożyczki w tym roku natrafiałaby jednak na duże trudności, gdyż by ponownie miała oprzeć się przede wszystkim na t. zw. świecie pracy. Natomiast wydaje się, że dalszym powodzeniem może cieszyć się emisja biletów skarbowych. Wprawdzie jest to walor krótkoterminowy, nie nadający się w zasadzie do finansowania inwestycji, jednakże doświadczenia wskazują, że może być w pewnych warunkach przejściową formą finansowania inwestycji.

Obok problemu wydajności z poszczególnych źródeł wyłania się problem czasu, w jakim poszczególne wpływy będą aktualne. Wpływy zagraniczne w szczególności z pożyczek i wpływy ze sprzedaży mienia pomemieckiego będą w dyspozycji chyba nie wcześniej jak pod koniec bieżącego roku. Dlatego też obecnie ciężar finansowania inwestycji tym bardziej musi spocząć na aparacie bankowym. Zdolność kredytowa banków będzie wzrastać w miarę wzrostu kapitałów obcych (wkładów i rachunków bieżących) oraz rozwoju obrotów bezgotówkowych. Proces narastania wkładów niewątpliwie istnieje. Jednakże charakter tych wkładów (rezerwy kasowe) pozwala tylko na częściowe ich wykorzystywanie dla celów inwestycyjnych. Obroty bezgotówkowe wykazują dużą dynamikę rozwojową, a dalszy ich rozwój zależała będzie przede wszystkim od rozwiązania pewnych zagadnień organizacyjnych. W tym stanie rzeczy pewną część środków dla akcji kredytowej aparatu bankowy będzie musiał szukać w u. plynieniu swoich walorów w banku emisyjnym, to w rezultacie wywoła konieczność uruchomienia kredytów nie opartyh o rzeczywiste oszczędności. W świetle nowoczesnych badań naukowych i licznych doświadczeń kredyt tego rodzaju nie wywołuje jednak zaburzeń w życiu gospodarczym, o ile jest uruchamiany we właściwym stosunku do istniejących wolnych czynników produkcji. Wówczas nie zachodzi zjawisko zwyżki cen wzgl. o ile nawet występuje tendencja zwyżkowa, to nie w takich rozmiarach, aby realizacja ustalonego planu stawała się niemożliwą.

Dlatego też niezwykle wagę posiada art. 6 projektowanej ustawy, który postanawia stopniowo uruchamianie zarówno

kredytów skarbowych, jak i kredytów bankowych.

Specjalny charakter wśród wymienionych źródeł mają fundusze: inwestycyjny i amortyzacyjny. Fundusze te pochodzą z wpłat przedsiębiorstw państwowych. Czyli kredyt udzielony z tych funduszy tymże przedsiębiorstwom będzie kredytem udzielonym z ich własnych środków. Stwarza to niewątpliwie pewną komplikację i dodatkowe obciążenie z tytułu kosztów kredytu, zapewnia jednak równocześnie większą kontrolę nad akcją inwestycyjną w sektorze państwowym oraz możliwość przesuwania środków pieniężnych z jednych przedsiębiorstw do innych. System ten jest nowością i okaże się w przyszłości, w jakim stopniu jest właściwym.

V.

Poza powyższymi uwagami szczegółowymi nasuwają się jeszcze uwagi o charakterze ogólnym. Podjęcie planowania w niespełna rok po ukończeniu wojny jest pociąganiem z jednej strony śmiałym z drugiej — koniecznym. Śmiałość tkwi w decyzjach, nieopartych o dostateczny materiał statystyczny, a więc w pewnym stopniu improwizowanych. Konieczność wynika zarówno z faktu zniszczeń i dezorganizacji, dokonanych przez działania wojenne, jak i z przebudowy struktury gospodarczej. Poza tym rozmiar potrzeb i szczytów zasobów pieniężnych i towarowych zmusza do szczególnie oszczędnego i celowego ich użytkowania, co może mieć miejsce jedynie w ramach ogólnopanstwowego planu.

Powodzenie planu będzie zależało od całego szeregu czynników. Na pierwszym miejscu wymienić należy sprawę organizacji życia gospodarczego, na drugim — rentowność we wszystkich trzech sekwencyjnych polityce kredytowej, na trzecim torach gospodarczych. O ile w pierwszych miesiącach po odzyskaniu niepodległości położenie głównego nacisku na maksymalną produkcję było całkowicie uzasadnione, o tyle obecnie postulat rentowności całości gospodarki narodowej wysuwa się na plan pierwszy.

Sprawność organizacyjna będzie osiągnięta przede wszystkim na drodze odpowiedniego doboru ludzi. Decydującym kryterium o wyborze kandydata na stanowisko winny być w pierwszym rzędzie jego walory moralne i fachowe.

Właściwość polityki kredytowej polegać będzie na zasilaniu życia gospodarczego w środki pieniężne w takim rozmiarze, aby nie wywoływać gwałtownych wstrząsów w poziomie cen. Rozmiary zatem akcji kredytowej są uzależnione od narastania wolumenu towarowego. Rentowność rozwiązuje właśnie problem pokrycia obiegu pieniężnego masą towarową. Kredyty zatem na akcję nierentowną mogą być tylko wyjątkiem, nigdy regułą.

Poza powyższymi czynnikami o charakterze gospodarczym o powodzeniu planu decyduwać będą również czynniki psychologiczne. Wśród nich należy wymienić: pozytywne nastawienie ze strony społeczeństwa i realistycznie nie doktrynerskie podejście czynników kierowniczych.

VI.

Pozostaje jeszcze do omówienia zagadnienie stosunku, zachodzącego pomiędzy preliminarzem budżetowym a planem inwestycyjnym. Budżet i plan inwestycyjny stanowią całość. Budżet przewiduje wydatki o charakterze konsumcyjnym, plan — wydatki o charakterze produkcyjnym. Wydatki konsumcyjne winny być pokryte z dochodów. Realizacja planu inwestycyjnego w pewnym stopniu wpłynie na zwiększenie bieżącego dochodu, a zatem zwiększy możliwości pokrycia wydatków budżetowych. W aktualnym wypadku chodzi o takie zwiększenie dochodów, by w tym zwiększeniu znalazł pokrycie deficyt budżetowy, wynikający z faktu preliniuowania na podstawie dochodów dotychczasowych. Gdyby to nie nastąpiło, deficyt budżetowy w naszych warunkach mógłby zaciążyć na rynku pieniężnym, wywołując niepożądane refleksy w poziomie cen i podważając tym samym zasadniczą podstawę planu inwestycyjnego.

Poziom cen winien być barometrem zarówno dla realizatorów budżetu, jak i planu inwestycyjnego. Zarówno budżet, jak i plan inwestycyjny wpływają w stopniu decydującym na rozmiary strumienia pieniądza. Poziom cen jest wskaźnikiem, w jakim stopniu strumień pieniądza odpowiada strumieniowi dóbr. Gwałtowne i znaczne załamanie się poziomu cen grozi zarówno wykonaniu budżetu, jak i planu inwestycyjnego.

Aktualną sytuację można ocenić raczej jako korzystną. Tym nie mniej należy pamiętać, że organizm gospodarczy jest niezwykle czuły. Każdy błąd, a w szczególności każde niegospodarcze zarządzanie, wywołuje silne refleksy w całym życiu gospodarczym, przy czym refleksy te są tym silniejsze, im bardziej dyspozycje gospodarcze są skoncentrowane. I przeciwnie. Trafne zarządzanie wywołują wielokrotności efektów gospodarczych.

K. Pytel

Od dnia 25 lipca wszystkie wydziały Ambasady Brytyjskiej czynne są pod nowym adresem: Warszawa, AL. RÓŻ Nr. 1

LATO MIEJSKICH LUDZI

U ŹRÓDŁA

Prawda, że tytuł jest fascynujący? Czytelnik zastanawia się od razu nad rodzajem źródła. Może będzie to mądrości, prawdy czy zgody, a może grzechu lub występku? Nie, chciałbym dziś opiewać ludzi u źródła — bez wszelkiej przenośni. Proszę słuchać dalej: rzecz dzieje się na Dolnym Śląsku. Gdzieś tam — miejscowość jest tu raczej obojętna, od wieków słynęła z uzdrawiających właściwości swych wód pewne źródło, bijące w uroczej kotlinie, wśród łagodnych zboczy górskich. Najpierw leczyli w nim swe dolegliwości okoliczni chłopcy, a później zaufali mu swe dostojne cierpienia i mianości tego świata, aż do samego roi de Prusse włącznie. Nadszedł wiek pary i do małej miściny doprowadzono kolej. Zjeżdżają się tu co roku ludzie, by się leczyć. Poza leczeniem żyją, to znaczy jedzą, palą, śpią, grają w karty, politykują, plotkują, kochają się i nienawidzą, nudzą się, czytają „Szpilki“ i ziewają. Przyglądam się tym ludziom u źródła od kilku dni. Oto moje refleksje.

Love me little, love me long — kochaj mnie mało, kochaj mnie długo, mówi angielskie przysłowie. W naszych warunkach winno się raczej mówić: „Widuj mnie rzadko, mów o mnie często“. Na tak zwanym deptaku (dlaczego nie „dreptaku“?) widują się wszyscy, choćby przelotnie, ale codziennie. Zwrócić uwagę na wspaniałą team w składzie: mama, dwie córeczki (jedna w loczkach) oraz starający się, o nieznacznie przyprószone siwizną włosach. Widać od razu, że przywieziono go, aby się zadeklarował. Ciężka to służba. Regulamin przewiduje bawienie mamy wytworną konwersacją na temat ciężkich, dzisiejszych czasów, parzenie w oczy wybranej (tej w loczkach), oraz tańczenie od czasu do czasu z jej siostrą. To ostatnie obecnie odpada, ponieważ przydzielono tej młodej osobie (bez loczków) przystojnego porucznika lekarza, z oznaką pilota na piersi. Nowa ofiara jest tymczasem jeszcze beztrojska i nieświadoma losu, jaki ją czeka, skoro tylko dostanie się w ręce matriarchatu. Oczywiście o oznace pilota trzeba będzie zapomnieć — kiedy się jest żonatym, to się siedzi w domu, a nie lata. Ale to dopiero daleka przyszłość. Najpierw młodym przewertuje listy plac Wojska Polskiego (chodzi o t. zw. przyszłość), potem dopiero kandydat przejdzie dodatkowe szkolenie, gdy dojdzie do takiej perfekcji, jak jego szwagier in spe. Ten bowiem jest już tak przyuczony, że wystarczy jedno podniesienie brwi mamy, by zrywał się po krzesła, wodę mineralną, czy po bilety — zależnie od okoliczności.

Wszystko było dobrze, cały aparat ucisku funkcjonował nienagannie aż do wczoraj, kiedy to fluid wyzwolenia, jaki od roku krąży nad Europą, zawędrował aż do umysłowości starającego się. Nastąpił bunt niewolników. Oczywiście — na trzeźwo nigdy by się nie ośmielił. Zalał się więc samotnie przy barze hotelowym, zalał się na trupa. Dopuścił się nawet bluźnierstwa: kiedy przyszła ona (ta w loczkach), by z najwyższego rozkazu zwrócić mu uwagę na spóźnioną porę, odburknął gniewnie, wskazując na swe szpakowate włosy: „Dorosły jestem, sam wiem, kiedy mam iść spać“.

Dziś chodzi znów pokorny i zbolący. Sen o wolności przysł — powstanie brutalnie stłumiono. Nosi usznięte płaszczki kąpielowe, kubki do picia wody i książki, uważny na każde skinienie.

A wszystko to dzieje się w roku 1946 w Polsce. Może trochę podyskutujemy o głębokości przernian społecznych w naszym kraju?

„Idź złoto do złota — my Polacy lubujemy się w żelazie“. Oto, zdaniem moim, trafny przyczynek do poznania naszego charakteru narodowego.

Zyjemy w czasach burzliwych, które dają wspaniałe pole do popisu naszej dynamicznej naturze. Dyrektor tutejszego zakładu zdrojowego oświadczył był właśnie memu znajomemu, iż pada się do dymisji, ponieważ z reguły każdy interesant, który go odwiedza, grozi mu.

Powody? Twarde łóżko w hotelu, brak miejsca dla przybyłej niespodzianie kuzynki siostrzenicy szwagra, zepsuty kran i t. p.

A dziś byłem na stacji kolejowej. Odjeżdżał pośpieszny do Warszawy. Było wielu stęsknionych widoku naszej ukochannej stolicy, którzy w ponurym milczeniu, zapomniawszy na chwilę hymnu „Waszawo, ty moja Warszawo“, ruszyli do szturmu. Jak powszechnie wiadomo, pchanie się w ogonku wpływa znakomicie na przyspieszenie tempa wydawania biletów. Widziałem co prawda, w rozmaitych krajach, jak ludzie w ogonkach stali sobie wygodnie, oparci o ścianę, o pół metra jeden od drugiego, ale był to oczywisty objaw dekadencji. U nas wiska się zbiorowym wysiłkiem kolejnego amatora jazdy w okienko kasy. Równocześnie i z boku, manewrem oskrzydającym, nacierają na kasę interesanci, z tajemnym hasłem na ustach: „Ja tylko“. Znaczący to, że chcą tylko o coś zapytać, coś podstemplować, choćby tylko zerknąć na półprywatną kasjerkę, a ani im w głowie nawet jakiegoś tam kupowanie biletu, o co najniebezpieczniej posiadają ich zawistni współpasażerowie. Trzeba też dodać, że prosty skądinąd i rozpowszechniony wynalazek gotowego biletu, drukowanego na tekturze, jest tu jeszcze nieznanym. Kasjerka wypisuje każdy bilet z osobna, sumując kilometry na papierku.

Na peronie ktoś komuś wymyśla od łapowników. Obrząca, protokół o znieważeniu urzędnika na służbie. Konduktor jest szczerze oburzony, przecież on akurat dziś nic, ale to nic nie wziął, a tu takie podejście. Wreszcie wszystko się stabilizuje, czego najlepszym dowodem wynurzające się z tłoków jadła i napoje, bez których nie rusza się w drogę żaden Słowianin.

Pociąg rusza, a ja wracam do mych ludzi u źródła. Jeżeli coś ciekawego zobaczę, to wam znów opiszę.

WILK

ZASADNICZE OŚWIADCZENIE

KRAKOWSKICH PISARZY KATOLICKICH, ZAMIESZCZONE W 71 NRZE „TYGODNIKA POWSZECHNEGO“.

Świadomi nieobliczalnej klęski moralnej, jaką stały się dla całej Polski tragiczne wypadki kieleckie, z całym poczuciem odpowiedzialności za nasze słowa, potępiamy w sumieniu i publicznie ich sprawców pośrednich i bezpośrednich. Apelujemy do społeczeństwa polskiego, do tych wszystkich, dla których godność i sumienie Polaka i katolika nie jest pustym dźwiękiem, by w imię moralności chrześcijańskiej, w imię wiekowej kultury obyczajowej naszego kraju i jego wielkich chlubnych tra-

Aleksander BOCHEŃSKI, Antoⁿⁱ GOŁUBIEW, Maria MORTIN-GÓRSKA, Dominik HORODYŃSKI, Paweł JASIELNICA, Wojciech KĘTRZYŃSKI, Stefan KISIELEWSKI, Feliks KONOPKA, Tadeusz KWIATKOWSKI, Zygmunt LEŚNODORSKI, Hanna MALEWSKA, Zofia STAROWIEYSKA, MORSTINOWA, Woj-

Zgodnie z wezwaniem redakcji „Tygodnika Powszechnego“ zespół redakcyjny

Jerzy ANTONIEWICZ, Lesław M. BARTELSKI, Witold BIENKOWSKI, Jan DOBRACZYŃSKI, Jerzy HAJMAJER, Dominik HORODYŃSKI, Janusz KAWECKI, Wojciech KĘTRZYŃSKI, Maciej J. KONONOWICZ, Marek

dycji, odcieśli się w sumieniu i w czynie od zbrodni, płynących z antysemityzmu, a na jednostki zaślepione i otumanione starali się bez zwłoki wywrzeć wpływ, przywodzący je do opamiętania. Opinia polska, tam gdzie chodzi o zbrodnie, musi być jednolita. Kto się ze zbrodniarzami solidaryzuje, stawia się poza nawiasem społeczności katolickiej i polskiej. Jako pisarze i publicyści katolicy oświadczamy, że żadne względy nie mogą usprawiedliwić podeptania prawa boskiego i shanbienia dobrego imienia Polski w świecie.

ciech NATANSON, Jerzy RADKOWSKI, Stanisław ROSTWOROWSKI, Kazimierz Zenon SKIERSKI, Stanisław STOMMA, Alina ŚWIDERSKA, Anna ŚWIRSZCZYŃSKA, Jerzy TUROWICZ, Konstanty TUROWSKI, Włodzimierz WNUK, Jacek WOŹNIAKOWSKI, Jerzy ZAGÓRSKI.

„Dziś i Jutro“ przyłącza się całkowicie do powyższego oświadczenia.

KONONOWICZ, Kazimierz KOŹNIEWSKI, Andrzej KRASINSKI, Mieczysław KURZYŃA, Konstanty LUBIENSKI, Bolesław PIASECKI, Marek Antoni WASILEWSKI.

SZEROKI HORYZONT

POWOJENNE ROZWAŻANIA

W prasie amerykańskiej panuje obecnie nagminny zwyczaj drukowania sprawozdań czy reportarzy, które można by objąć wspólną nazwą: „Teraz to już można opowiedzieć“.

Są to z reguły opowiadania o wycieczkach i niepowodzeniach wywiadu i kontrwywiadu amerykańskiego w walce ze szpiegostwem państw Osi, względnie w dążeniu do zdobycia informacji. Cel tych ciekawych artykułów jest dość jasny i zdaje się niezawodnie wybiegać poza zwyczajną pogodę za sensacją: chodzi tu prawdopodobnie o wykazanie czytelnikowi, a więc i podatnikowi amerykańskiemu celowości wielkich wydatków, jakie pociąga za sobą utrzymywanie stałe rozbudowanej sieci wywiadu i kontrwywiadu.

W tej powodzi materiału publicystycznego zasługuje na uwagę zwłaszcza interesująca praca Thomasa M. Johnsona, ogłoszona niedawno w „The Washington Post“. Szereg przykładów ma na początku artykułu zobrazować nieudolność przedwojenną służby wywiadowczej USA. Znalazła ona swój wyraz i w klęsce pod Pearl Harbor, kiedy informacje amerykańskie zgodnie stwierdzały, iż lotnikowcy japońskie krają na swych wodach terytorialnych. Poszczególne departamenty — Stanu, Marynarki, Wojny oraz inne — zbierały informacje na własną rękę, nawzajem sobie przeszkadzając i nie dbając o jakąkolwiek współpracę. „Połączony Urząd Wywiadu“ rozpoczął swą pracę w... trzy dni po Pearl Harbor. W rezultacie o niektórych wyspach, dzierżonych przez Japończyków, Amerykanie wiedzieli jedynie to, że znane im było ich położenie geograficzne. I tak naprzykład, Amerykanie gromadzili wojska i okręty dla wyparcia Japończyków z wyspy Kiska na Aleutach w tym czasie, kiedy Japończycy sami ją już dawno opuścili. W Afryce pierwsza poważniejsza porażka amerykańskich wojsk lądowych miała w tym swe źródło, że w sztabie dużej jednostki Stanów Zjednoczonych nie było nikogo, ktoby umiał przetłumaczyć z niemieckiego zdobyty przez commando rozkaz marszałka Rommla o kontrataku na przełęcz Faid. Okazało się, że oddziały wywiadu amerykańskiego znajdują się na głębokim zapleczu. Wydano wtedy od-

powiednie rozkazy i dołączono do oddziałów frontowych specjalne formacje wywiadowcze.

Informacje wywiadu dla lotnictwa były również niewystarczające. Teraz już wiadomo, że 70% wszystkich japońskich silników lotniczych fabrykowano w dwóch wielkich zakładach przemysłowych, których nigdy nie widział żaden Amerykanin i które przetrwały nietknięte do końca wojny. Rzeczoznawcy amerykańscy stwierdzili, że niemiecki system produkowania energii elektrycznej nie może być unięzkodliwiony nalotami i dlatego też nie były one na większą skalę podejmowane. Dziś okazuje się, że seria nalotów na elektrownie niemieckie mogła bardzo poważnie zmniejszyć niemieckie możliwości zbrojeniowe.

Skąpstwo rządu amerykańskiego w odniesieniu do wydatków na szpiegostwo było wręcz niewiarygodne. Biuro „Sekcji Wywiadu Dalekiego Wschodu“, które zasięgiem swym obejmowało „tylko“ Japonię, Chiny, Azję południowo-wschodnią i Syberię, składało się z jednego oficera i jednej urzędniczki. Oficer wywiadu, który zapłacił szpiegowi 500 dolarów za plany nieprzyjacielskiego lotniska, dostał nagane za ekstrawagancję. Amerykańskiemu attaché wojskowemu w Berlinie kazano zapłacić w własnej kieszeni za szyfrowaną depeszę, w której ostrzegał, iż Hitler ma zamiar wkroczyć do Czech.

Trzeba było poważnego wysiłku dla zreorganizowania tej całej służby. Cały sztab uczonych, tłumaczy, geografów, chemików i innych został wciągnięty do współpracy. Wykorzystywano każdą informację, każdą nieuwagę wroga. Dla zdobycia dokładnych informacji dla lotnictwa o niemieckich rafineriach naftowych i drogach transportu ropy, setki specjalistów wertowały niemieckie rachunki i kartki frachtowe z wagonówocystern, nadchodzących do krajów neutralnych. Tokijska książka adresowa zawierała wiele danych o zakładach przemysłu wojennego. Ciekawą drogą uzyskano pierwsze wiadomości o „Kamikaze“ — japońskich bombowcach samobójczych. Przejęta depesza radiowa podawała, że Japończycy przerabiają dwa swe pancerniki na lotniskowce przez nadbudowę pola startowego. Potem fotografom lotniczym udało się dokonać zdjęcia takiego statku już po przeróbce. Rzeczoznawcy obejrżeli bardzo szczegółowo te fotografie i zastanowiło ich to, że wokoło pola startowego znajdowały się działa przeciwlotnicze, ustawione tak, że samolot mógł wystartować, ale lądowanie byłoby bardzo utrudnione względnie wprost niemożliwe. Głowiono się nad tą zagadką, kiedy wreszcie zrozumiano, że chodzi tu o wystrzeliwanie z katapulty samolotów, które nigdy nie miały wrócić do bazy, a więc nie potrzebowały lądowiska. Natychmiast ostrzeżono wszystkie statki wojenne, które przygotowały się do obrony przed tą nową formą walki.

Autor artykułu domaga się nadania wywiadowi amerykańskiemu charakteru stałej instytucji. Naturalnie — musi tu operować argumentami dostępnymi amerykańskiej mentalności, to znaczy przemawiającymi do kieszeni. Według jego obliczeń, koszt takiej „instytucji“ wynosiłby rocznie od pięciu do dwudziestu pięciu milionów dolarów, co w przeliczeniu bardziej jeszcze obrazowym, wahałoby się między kosztem jednej łodzi podwodnej i jednego krążownika.

Wilk

Rozgorzała istotnie najszersza chyba z dotychczasowych dyskusja na temat postawy społecznej katolików. Wzięły w niej udział „Tygodnik Powszechny“, „Tygodnik Warszawski“, „Robotnik“, „Kuznica“, „Odrodzenie“.

Ponieważ w dyskusji wyłoniono szereg zcharakteryzowań naszego stanowiska — zapowiadamy nasze wypowiedzi w najbliższych numerach.

Redaguje: Kolegium redakcyjne, Redaktor naczelny: Witold Bienkowski. Kierownik Oddziału Krakowskiego: Wojciech Kętrzyński, Wydawca: Kolegium redakcyjne. Adres redakcji i administracji: Marszałkowska 81 m. 17. Konta P. K. O. — Nr 1-727. Redaktor przyjmuje codziennie od godziny 11 do 12. Adres Oddziału Krakowskiego: Kurkowa 5 m. 4. Redaktor przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od godziny 13 do 14. Prenumerata miesięczna 30 złotych. Kwartalna 85 złotych.

Złożono w Zakł. Graf. „Dzwignia“ W.dok 24 B-10325

Odbito w Drukarni „Czytelnik“ Nr. 2, Marszałkowska 3-5